CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 14 (1854) • 3–9 kwietnia 2026

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

W poszukiwaniu utraconych świąt

str. 5

Ostatnia wieczerza

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 5e32e32b68

WOJNA DOMOWA

Premier Tusk nas rozczulił, z dumą ogłaszając program „CPN". My też uważamy, że za komuny było lepiej, a z Centralą Produktów Naftowych – sztandarowym przedsiębiorstwem socjalizmu – mamy wyłącznie dobre skojarzenia. No, może poza tym, jak kolejka do stacji CPN na rogu Potockiej i Słowackiego (dziś Plac Jacka Kuronia) sięgała pod dom prezesa na Mickiewicza, ale nie bądźmy drobiazgowi. Premier ponadto wygłosił płomienne wystąpienie w obronie decyzji o wyznaczeniu maksymalnych cen na paliwo i milionowych kar za ich przekroczenie. „Chciałbym sprostować moim zdaniem nieuzasadnione zastrzeżenia, że jest to działanie nierynkowe, że my wzięliśmy jako rząd w swoje ręce regulowanie cen" – zagaił premier obrady Rady Ministrów. „Mnie nikt do zasad rynkowych nie musi przekonywać, ale chcę z całą mocą podkreślić, że działamy w warunkach toczących się wojen i musimy przyjąć pewne zasady, które są nadzwyczajne i tak, jest to regulacja nadzwyczajna, która ma na celu ochronę ludności przed nieuzasadnionymi wzrostami cen. Ta cena maksymalna, którą będziemy podawali codziennie, ogranicza nieuzasadnione zyski pośredników i producentów"… Myślicie, że warto panu premierowi wytłumaczyć, że regulacja cen jest jednym z kluczowych mechanizmów gospodarki planowej i że właśnie zrobił kolejny wielki krok na drodze odchodzenia od rynkowego fetyszu na rzecz racjonalnego i odpowiedzialnego interwencjonizmu? Czy może lepiej niech nie wie?

Z rzadka nam się to zdarza, więc z tym większą przyjemnością pochwalimy Nową Lewicę i marszałka Czarzastego za projekt, który wprawia prawacki internet w stan głębokiej histerii. Próbka: „50 tys. »zadośćuczynienia« dla czerwonych katów. Wszyscy zapłacimy za osądy komunistycznej propagandy! Projekt ustawy Lewicy zakłada wypłatę 50 tys. zł m.in. oprawcom z okresu stalinizmu". Potem jest oczywiście o tym, że Czarzasty był w PZPR, i jego zdjęcie w czerwonym sweterku z nieporadnie dorysowanym sierpem i młotem. Chodzi o projekt sprzed roku, którym sejm zajął się dopiero w lutym, przewidujący 50 tys. zł odszkodowania dla ofiar (a dziś już raczej potomków ofiar) bandytów z lasu zwanych w oficjalnej propagandzie żołnierzami wyklętymi. Znakiem przynależności do grona „czerwonych katów" była nieumiejętność przeżegnania się po katolicku – w ten sposób banda „Burego" wyselekcjonowała białoruskich furmanów do odstrzału 31 stycznia 1946 r. w Puchałach Starych. Dziś PiS przekonuje, że było to postępowanie w interesie narodowym: „Jest to projekt antypolski i godzący w polską rację stanu" – mówił w sejmie poseł Marek Ast, skądinąd niegdysiejszy przewodniczący komisji mniejszości narodowych i etnicznych.

Poseł Ast ma powody do złego nastroju, albowiem min. Żurek wyciera nim sobie gębę za każdym razem, jak go pytają, czemu sejm dotychczas nie obsadził wakatów w Trybunale Konstytucyjnym: bo kandydatem był Ast, więc nie przechodził przez głosowanie. Argument ten nie przekonuje prezydenta, który właśnie zaprzysiągł dwoje z sześciorga nowych sędziów, wybranych przez sejm w marcu – Magdalenę Bentkowską i Dariusza Szostka – a reszty nie. Uzasadnienie prezydenta jest dość zaskakujące: otóż za jego kadencji wygasły kadencje tylko dwóch sędziów TK, więc on jest odpowiedzialny tylko za dwa wakaty. „To jest odpowiedzialność głowy państwa za wszystko, co dzieje się w trakcie jego kadencji" – powtarzał w kółko minister Bogucki zapytany, czemu ci, a nie inni, aż wreszcie się wkurzył własnym uporem i przyznał, że prezydent „dokonał takiego wyboru w oparciu o ocenę kandydatów, o przedstawione dokumenty, o ich życiorysy, drogę życiową". Potem się rozhulał w tej szczerości i przyznał, że „te dwie osoby w żaden sposób, przynajmniej oczywisty, publiczny, nie angażowały się w różnego rodzaju działania o charakterze politycznym po żadnej ze stron". To zupełne jak Marek Ast. A przy okazji – rzuciło nam się w oczy, że mecenas Bentkowska, popierana przez PSL, jest córką mecenasa Bentkowskiego, który – trzeba trafu – był w rządzie Mazowieckiego ministrem sprawiedliwości popieranym przez PSL. Tradycja to wielka rzecz.

Co będzie z resztą sędziów, nie wiadomo. Prezydent wyraźnie nie kwapi się ich zaprzysięgać, więc min. Żurek wymyśla scenariusze alternatywne, przekonując, że „»wobec prezydenta« może nie oznaczać »bezpośrednio, twarzą w twarz, przy prezydencie«". Na te rozmyślania twardo odpowiada min. Bogucki: „Pan prezydent przestrzega wszystkich, którzy chcieliby materializować jakieś szaleńcze ustrojowe koncepcje dotyczące tego, że mogą osoby, które zostały wybrane na funkcje sędziów Trybunału Konstytucyjnego, złożyć ślubowanie przed innym organem, że mamy wtedy do czynienia zarówno z deliktem konstytucyjnym, jak i poważnym przestępstwem o charakterze karnym". Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przed innym organem…

Donald Trump już całkiem obraził się na NATO i powiedział brytyjskiemu dziennikowi „The Telegraph", że zawsze wiedział, że sojusz to „papierowy tygrys" i że ponowne rozważenie udziału USA w NATO jest już „poza rozważeniami". Tym razem olali go nie tylko najwierniejsi słudzy, ale nawet Władysław Kosiniak-Kamysz. „Chciałbym, żeby było podobnie, jak z Grenlandią" – ogłosił lekkim tonem Władzio: „Następuje pewnego rodzaju lewarowanie, prezydent Trump bardzo mocno akcentuje w swoich wypowiedziach różne kwestie, a jak przychodzimy później do dialogu i dyskusji, to uspokaja się". Tu szef MON się zastanowił i dodał: „atmosfera", żeby do Ameryki nie dotarło, że on też uważa Przywódcę Wolnego Świata za czterolatka, który ma zwyczaj rzucać się na ziemię i walić piąstkami w podłogę, i chwilę trwa, zanim się uspokoi. Naszym zdaniem niepotrzebnie się Władzio frasuje, Donald i tak nie wie, kim on jest.

Prokuratura wystąpiła do Parlamentu Europejskiego o kolejne uchylenie immunitetu europosłowi Mariuszowi Kamińskiemu – tym razem w związku z „willą Kwaśniewskich", którą kupił agent Tomek, umaczając trzy bańki z funduszu operacyjnego, choć tak naprawdę nie miał żadnych dowodów na to, że willa należała do Kwaśniewskich, poza plotą puszczoną przez Oleksego w rozmowie z Gudzowatym. Prokuratura małodusznie uważa zlecenie tej akcji przez Kamińskiego za przekroczenie uprawnień. Zreformowany agent Tomek opowiada, że akcja była tak dęta, że nikt jej nie chciał robić i agenci CBA dostawali od szefostwa łapówki po 20 tys. zł, żeby się do niej dotknąć. Minister Żurek komentuje: „Nie znam sprawy, ale nie sądzę, żeby pan były agent Tomek publicznie wypowiadał kłamstwa, które tak łatwo zweryfikować". Serio?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Marzec–kwiecień 2014 r.

Świętego Gontrana

Zważywszy na to, że moją piątą klepką załatano u nas w domu zabytkową szafę, coraz lepiej czuję się we współczesnym świecie, gdzie Julia Tymoszenko oznajmiła, że na rosyjskich obywateli Ukrainy zrzucić trzeba bombę atomową, której Ukraina nie ma. Zarazem zamierza kandydować w wyborach na prezydenta w kraju, którego 10 milionów obywateli obiecuje zabić.

Świętej Gwaldysy

Barack Obama zapewnia, że NATO będzie bronić przed Rosją należące do paktu państwa graniczne. To znaczy co? Przyśle armię równoważną rosyjskiej, żeby wygrać wojnę konwencjonalną, czy zainicjuje termojądrową? W tym ostatnim wariancie lepiej, żeby Polska weszła raźno w skład Federacji Rosyjskiej. Nie bójmy się tego powiedzieć.

Cd. Świętej Gwaldysy

Cała Polska musi wzmocnić pochodami, obchodami i pieśnią świętość Jana Pawła II. Dla bliskich Lolek. Cała Polska musi dążyć do olimpiady w Krakowie. Skoki z wieży kościoła Mariackiego? Cała Polska musi płakać nad losem grupy dzieci niepełnosprawnych, które urodziły matki odznaczające się nadsprawnością. Tej ich sprawności nie starczyło więc dla potomstwa.

Świętej Anoncjacji

Właśnie ćwierć wieku temu zakończył obrady czczony jak JP2 Okrągły Stół. Z tej okazji sejm w 1989 r. kilkoma głosami przewagi wybrał mnie na konstytucyjnego ministra, a niezależnie od tego dostałem stenogram obrad stołowych i stolikowych. Prawie trzy miesiące kłóciliśmy się z Solidarnością, zapisując zbieżności i rozbieżności. Po wykłóceniu się nikt nigdy do tych zapisów nawet nie zajrzał.

Solidarność historyczna wyrodziła się w Solidarność współczesną z dudniącym Dudą na czele. Ten Duda żąda od rządu więcej niż Wałęsa w 1989 r. i wzbudza obrzydzenie historycznego przywódcy Solidarności. Solidarność Wałęsy nas, komuchów, straszyła po nocach i była bólem wielkich naszych czerwonych głów. Krzykami Dudy nikt się dziś nie przejmuje. Zwolennikami jego związku są głównie składy zużytych opon, które lubi palić, i właściciele autobusów dowożących do stolicy niekoniecznie trzeźwe masy związkowe.

Świętej Larissy

Sensacja telewizyjna dnia: w Krakowie rowerzysta nie wpadł pod tramwaj.

Cd. Świętej Larissy

Tomasz Sakiewicz pociesza: „wojna wisi na włosku...". Jego „Gazeta Polska Codziennie" żąda zerwania stosunków kulturalnych z Rosją i unieważnienia planowanego „Roku Rosji w Polsce". Może wtedy trwać już bowiem wojna z Rosją. Sakiewicz nie rozumie, że gdyby się zaczęła, nasz kraj byłby zajęty szybciej, niż trwa koncert skrzypcowy Czajkowskiego.

Świętego Mikarema

Dyskusja między politykami w Polsce polega na wzajemnym krzyczeniu na siebie: ty chamie, nie znoszę twojego chamstwa. Jak wszyscy staną się grzeczni, zniknie pluralizm polityczny, czyli demokracja.

Pod nagłówkiem „Spot reklamowy PiS" puściliśmy żywą kaczkę, która energicznie kwacze do mikrofonu. Kwaczenie spowodowało, że pudel Azor wbiegł z parteru na piętro naszego domu i zaczął szczekać na komputer. Dzień później Azor był w ogrodzie, a tam pojawiła się żywa kaczka i zaczęła głośno kwakać. Słysząc to, leżący w ogrodzie Azor zamiast do kaczki popędził szczekać do wyłączonego komputera. W życiu pudli świat wirtualny też staje się bardziej prawdziwy niż realny.

Świętego Beniamina

10-letnia moja prawnuczka wracała pieszo z wieczornego tenisa, gdy zastąpił jej drogę ekshibicjonista. Mężczyzna rozchylił kurtkę, spuścił spodnie od dresu i zaczął się szybko onanizować. Równie szybko skończył i ubrał się. – Chciałabym jeszcze popatrzeć – poprosiła mądra dziewczynka.

Świętego Huguesa

W mojej miejscowości młodociani narkomani zbierają się przy pomniku JP2. Naturalną jest więc rzeczą, że cokół służy do wymiany korespondencji typu: „Ewa = kurwa" „Edek = AIDS. Ewa". Straż miejska ostrzegła narkomanów, że po zrobieniu ekspapieża świętym pisanie i rysowanie na pomniku przestanie być wykroczeniem, a stanie się przestępstwem obrazy uczuć religijnych. Nie do wiary, przecież to ten sam pomnik!

Świętego Ryszarda

Moskwa niegdyś podała, że ofiara smoleńska gen. Błasik, szef polskiego lotnictwa i pasażer upadłej tutki, miał pośmiertnie 0,6 promila alkoholu w organizmie. Polska komisja Millera ogłosiła, że obcy głos, który nagrał się w kabinie w czasie próby lądowania, mógł należeć do gen. Błasika. Głos wyrzekł „siadajcie", co mogło znaczyć zbrodniczą komendę „lądujcie". Prokuratura oznajmiła teraz, że Błasik nie pił (choć przez lata od śmierci mógł wytrzeźwieć). I nie wiadomo, kto mówił. PiS zażądało uchwały sejmu, że polskiego oficera okryto hańbą, a sejm przywraca mu honor i oddaje hołd.

No więc chwała polskiemu generałowi, który o siódmej rano był jeszcze trzeźwy. Znałem wielu polskich generałów i wydaje mi się, że z 0,6 promila to oni rodzą się na dobry początek. Jeden pijany generał w mundurze bił mnie nawet przy pisuarze knajpy na Foksal, ale na moje szczęście nie utrzymał się na nogach.

Ja sam zawsze jestem pijany jako pasażer samolotu, jak zresztą większość towarzyszy podróży. Nie raz zapraszany, odwiedzałem kabinę pilotów. Nie wiedziałem, że to hańbi. Przypomnieć też trzeba, że kancelaria byłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego zakupiła niebotyczną liczbę małpek z mocnym alkoholem. Wyśmiewał to publicznie Janusz Palikot. Kancelaria wyjaśniła wówczas, że alkohole stanowią niezbędne wyposażenie prezydenckiego samolotu. 2 małpki = 100 g = 0,6 promila.

Świętego Izydora

Głoszący ubóstwo papież Franciszek nie jest dobrym chrześcijaninem i znaleziono na to dowód. Hiszpańscy uczeni odkryli, że poszukiwany od wieków Święty Graal, czyli kielich, z którego Chrystus pił wino w trakcie ostatniej wieczerzy, znajduje się w Bazylice św. Izydora w hiszpańskim mieście Leon. Chciałbym mieć tyle pieniędzy, ile zgarnęli autorzy powieści i filmów o poszukiwaniu Świętego Graala – oto on jest ponad wszelką wątpliwość i stoi sobie w gablocie. Wykonany jest z agatu, onyksu, złota, wysadzany drogimi kamieniami.

I teraz rozważcie: jeden z setek starożytnych żydowskich mesjaszy, ubogi facet z Nazaretu, który bez skarpetek zasuwał pieszo po późniejszej Palestynie, popijał kolację z bardziej drogocennego kieliszka, niż ma Kulczyk. Chyba Franciszek II powinien sobie wybrać innego bezpretensjonalnego Boga. ❑

PRIMA APRILIS

W poprzednim numerze nie napisaliśmy całej prawdy.
Str. 3: Włodzimierz Czarzasty nie występuje w aktach Epsteina ani jako „Chazzasti", ani w żadnej innej formie, nikt nie rozmawiał z Jeffreyem Epsteinem na temat zainwestowania 17,5 mln łapówki uzyskanej przez „grupę trzymającą władzę" w Polsce, nikt nie wspominał Lwa Rywina i nikt nie rozważał zaproszenia Czarzastego na prywatną wyspę pedofila. Prawdą jest natomiast, że 23 lata temu Czarzasty miał wąsy.
Str. 5: Damian Duszczenko nie rozmawiał z Marceliną Zawiszą, która – o ile nam wiadomo – nie godo po ślōnsku. Knur także nie został zagoniony do roboty.
Str. 16: Oczywiście, że Konferencja Episkopatu Polski nie postanowiła dobrowolnie wypłacać po 100 tys. zł ofiarom księżej swawoli. W to to już chyba nikt nie uwierzył, nie?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

REDAKCJA



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szykując się na horror

Ostatnio próbuję oglądać naprzemiennie wiadomości w TVN i Republice. Jest to ciekawe doświadczenie, niestety bardzo smutne. Jesteśmy podzieleni jako społeczeństwo i nie widzę żadnych najmniejszych szans na jakiekolwiek zmiany. Są dwie różne Polski. Republika to jest telewizja jak wcześniejsze TVP za rządów PIS. To ordynarna szczujnia, która podjudza nas, Polaków, do utrzymywania podziałów. Obecny (...) rząd nazywa reżimowym, dyktatorskim. Tradycyjnie szczują też na naszych sąsiadów Niemców i Unię. Wszystko, co złe, to oczywiście wina Tuska. Sami nie pamiętają swoich programów telewizyjnych robionych za nasze wspólne pieniądze i złodziejskich rządów PiS-u. Zróbmy wszystko, co w naszej mocy, aby za rok nie wróciły ich niecne rządy. Jeżeli tak by się stało, to będzie horror w naszym państwie. Tylko wspólne, koalicyjne rządy partii demokratycznych dają gwarancję na mądre i sprawiedliwe rządy w Polsce.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Razem czy osobno

Dużo było godki z Marceliną Zawiszą, ale ciągle nie wiem, czym się różni program Razem od programu jakiejkolwiek innej partii. Nie wiem, czy Razem jest za ewentualną federacją europejską, za intensywnymi zbrojeniami, czy przeciw, za ajatollahami czy Izraelem, czy jakby Rosja zajęła Narwę, to Polska ruszy na Kaliningrad, czy nie? Co z opodatkowaniem rolników, a co z klerem i jego interesami (...)? Nawet nie słyszałem, żeby Razem podniosło problem (...) uwspólnotowienia w UE przepisów o ruchu drogowym (niby detal, ale przydatny), że o ujednoliceniu przepisów i struktur prawnych w UE nie wspomnę. Przed laty, kiedy rodziło się Razem, (...) doradzałem, żeby nie robić osobnej partii, tylko wejść w niemrawe (do dziś) SLD (...) i zacząć poważną politykę. Niestety, zwyciężyła idea „osobno", moim zdaniem dzięki intensywnej propagandzie „GW" i TVN na rzecz „prawdziwej niekomunistycznej lewicy", i skończyło się wynikiem wyborów w 2015 r., co i dziś nam się szykuje!

RTK

eprasa.pl 5e32e32b68

Polsce atom, światu pokój?

W cieniu bomby nuklearnej

Wraz z zaostrzaniem się sytuacji międzynarodowej i wzrostem napięć wojennych na porządek dnia wrócił problem zbrojeń nuklearnych. Główne supermocarstwo nuklearne od kilku tygodni toczy wojnę z Iranem, usiłując temu największemu aktualnie państwu islamskiego Środkowego Wschodu wybić – czy raczej wybombardować – z głowy ambicje nuklearne. Z niepewnym na razie skutkiem.

Również nasze rodzime mocarstwo in spe, zbrojące się na potęgę na rzekomo nieuchronną wojnę z Rosją, zaczyna zerkać w kierunku jakiejś spółki nuklearnej. Zależnie od sympatii: Prawo i Sprawiedliwość wolałoby wprosić się na partnerstwo w tej dziedzinie ze Stanami Zjednoczonymi, jednak do takich spółek nieskorymi. Koalicja Obywatelska liczy na sojusz obronno-odstraszający z dużo słabszą pod tym względem, ale jednak nuklearną Francją. Polskie zabiegi o partnerstwo w broni nuklearnej z kimkolwiek wyglądają na razie mało realnie, ale narodową dumę łechcą i media nęcą. Nadal będzie o nich głośno. Warto zatem przypomnieć dość pouczające w tym względzie doświadczenie Polski Ludowej. Inne z czasów Gomułki, a inne Gierka.

Rozsądek Wiesława

Gomułka żadnych specyficznie polskich ambicji nuklearnych nie miał. Realistycznie sądził, że na takie ambicje Polski nie stać, a poza tym był przeciwnikiem broni masowej zagłady. Dochodząc w 1956 r. po raz drugi do władzy, zaakceptował po poprzednikach skromny doświadczalny reaktor, na nic więcej zgody i pieniędzy nie dawał. W energetyce polegał na węglu.

Ale jednak wmieszał się – i to znacząco – w międzynarodową debatę o broni nuklearnej. Nie dla Polski, ale dla Chin, choć w imię polskich interesów. Z uwagą i niepokojem od 1956 r. obserwował narastający w obozie radzieckim spór głównego hegemona z największym państwem bloku, Chinami Ludowymi.

W październiku 1956 r. był beneficjentem tego sporu – początkowo tylko nieświadomie. Chiny dość nieoczekiwanie, ale zdecydowanie sprzeciwiły się radzieckim planom interwencji zbrojnej przeciw nieuzgodnionej z ZSRR zmianie kierownictwa PZPR i powrotowi Gomułki – niedawnego więźnia stalinizmu – do władzy. Chruszczow z kolegami nieproszony przyleciał do Warszawy, a dywizje pancerne ruszyły w ślad za nim. Poinformowany o tym Mao zagroził publicznym potępieniem tej „wielkomocarstwowej awantury", zażądał wycofania się z niej i wysłał do Moskwy połowę chińskiego politbiura na rokowania. Gomułka o tej interwencji dowiedział się dopiero po kilku dniach. Docenił jej znaczenie, ale też zorientował się, że sprawa polska została przez Chiny jedynie wykorzystana do rozgrywki z ZSRR o partnerskie relacje, czyli o respekt dla wielkomocarstwowych interesów Chin. Po wygraniu tej polskiej rundy Chiny wynagrodziły Chruszczowa zgodą na zbrojną pacyfikację zbuntowanych Węgier i akceptacją hegemonii radzieckiej w obozie socjalistycznym i ruchu komunistycznym. Na zbliżającej się naradzie partii komunistycznych (1957 r.) Mao poparł formułę „ze Związkiem Radzieckim na czele!", którą kwestionowali Gomułka i lider włoskich komunistów Palmiro Togliatti.

Sporu chińsko-radzieckiego to nie zakończyło. Po dwu latach rozpalił się na nowo. Chińska partia zakwestionowała – umiarkowaną – destalinizację Chruszczowa: wycofanie się z okupacji części Austrii, pojednanie z Jugosławią Tity, zaproszenie prezydenta USA Eisenhowera do Moskwy itp. Rozpętano nagonkę przeciw tym „ustępstwom" wobec imperializmu. Rozpoczęła się też ostra rywalizacja chińska z wpływami radzieckimi w ruchu dekolonizacyjnym oraz kwestionowanie wartości radzieckiej pomocy gospodarczej dla Chin.

Między Rosją i Chinami

Wiosną 1958 r. uczestniczyłem w kilkuosobowej polskiej misji studyjnej zaproszonej przez KC KPCh dla zapoznania się z problemami Chin. Przewodniczył jej Jerzy Morawski, wtedy sekretarz KC. Spędziliśmy w Chinach miesiąc, traktowano nas bardzo przyjaźnie i poważnie, nie ukrywano obszarów biedy i zacofania, nawet drastycznego widoku chłopów zaprzęgniętych do pługa zamiast wołów. Na końcowym spotkaniu z Mao przewodniczący KPCh oświadczył: „W innych krajach socjalistycznych żyje się ludziom dużo lepiej niż w Chinach, a mimo to tamtejsze partie wciąż walczą o polepszenie warunków życia. To błąd, powinny skupić się na pomocy w rozwoju ogromnych Chin, ich siły gospodarczej i militarnej. Chiny to miliard ludzi, ta siła zapewniłaby zwycięstwo nad imperializmem"… Z przecieków dowiedzieliśmy, że KPCh czuje się zawiedziona i dotknięta radziecką odmową dostępu do militarnej technologii nuklearnej.

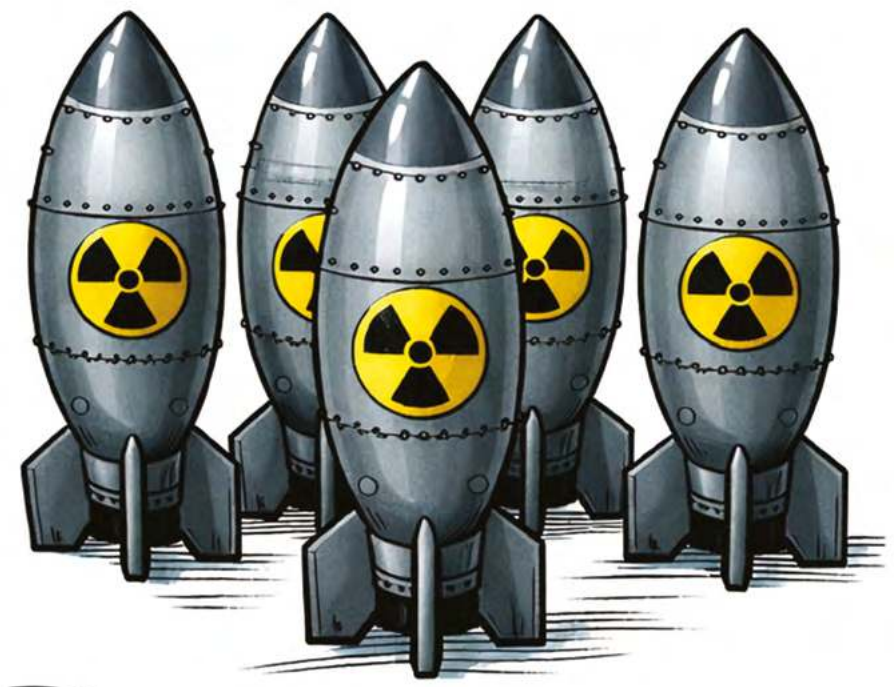
Gomułka informował Chruszczowa, że oficjalne stanowisko PZPR wobec radzieckiego projektu będzie pozytywne, ale jego osobiste jest negatywne. Radził stanowczo powstrzymać się z układem o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – ze względu na Chiny.

Po kryzysie kubańskim w 1962 r. Chiny otwarcie zarzucały władzom radzieckim defetyzm, krytykując ich decyzję wycofania rakiet z Kuby, a zwłaszcza podjęcie rokowań z USA nad układem o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej. Radziecka polityka w kwestii broni nuklearnej nacechowana wtedy była pewną sprzecznością. Z jednej strony z maksymalnym wysiłkiem prowadzono wyścig nuklearnych zbrojeń – a z drugiej w propagandzie zagranicznej forsowano pacyfistyczne hasła antynuklearne, organizowano różne antyatomowe manifestacje. Chiny ten propagandowy pacyfizm zdecydowanie potępiały i głosiły popularny w Trzecim Świecie radykalizm antyimperialistyczny.

Latem 1963 r. KC KPZR przesłał partiom rządzącym w „bratnich krajach" do konsultacji swoją wersję projektu układu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej. Gomułka po przeczytaniu napisał do Chruszczowa osobisty poufny list. Zapoznał z nim tylko Zenona Kliszkę. Po latach odnalazłem kopię tego listu w domowym archiwum Gomułki i w październiku 1991 r. opublikowałem z komentarzem w miesięczniku „Dziś". We wspomnianym liście

Gomułka informował Chruszczowa, że oficjalne stanowisko PZPR wobec radzieckiego projektu będzie pozytywne, ale jego osobiste jest negatywne. Radził stanowczo powstrzymać się z układem o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – ze względu na Chiny.

Zdaniem Gomułki Związek Radziecki popełnił błąd, odmawiając Chinom technologii broni nuklearnej. Chiny potraktowały to jak odmowę partnerstwa. Wcześniej czy później – pisał Gomułka – opanują tę technologię sami, ewentualnie z jakąś pomocą amerykańskich Chińczyków. Ale zerwą sojusz z ZSRR, co spowoduje drastyczną redukcję siły radzieckiego obozu.





Ilustr. PAWEŁ FERENC

Chruszczow grozi palcem

Gomułka się tego obawiał – pierwszoplanowo traktował bowiem polski interes narodowy. Wdzięczny Chinom za poparcie w 1956 r. w sporze chińsko-radzieckim wspierał jednak Związek Radziecki ze względu na polską rację stanu. W tym czasie wszystkie państwa NATO – z wyjątkiem Francji – stały po stronie RFN w kwestii granicy na Odrze i Nysie. ZSRR pozostawał jedynym – i to niezbyt pewnym – gwarantem tej granicy.

Szans jednak na skłonienie Chruszczowa do podzielenia się atomem z Chinami nie było, Gomułka swoimi radami mógł go jedynie zdenerwować – podobnie jak w 1948 r. zdenerwował Stalina przepowiednią, że Josip Tito w Jugosławii będzie nie do pokonania. Oburzony Stalin kazał Gomułkę wtrącić do więzienia. Chruszczow tylko go postraszył.

Niedługo po tej korespondencji zięć Chruszczowa Aleksiej Adżubej, naczelny redaktor dziennika „Izwiestia", wywołał sensację podczas wizyty w RFN, namawiając Niemców, aby zajęli neutralne stanowisko w sporze ZSRR–USA, oraz obiecując, że w zamian uzyskaliby radziecką zgodę nie tylko na znaczne zbliżenie obu państw niemieckich, lecz także korzystną dla Niemiec korektę granicy na Odrze i Nysie. Doniesienia prasowe o tych dywagacjach Adżubeja wywołały panikę w Warszawie. Byłem świadkiem protestu, jaki na polecenie Gomułki Zenon Kliszko złożył w tej sprawie na ręce Jurija Andropowa, sekretarza KC KPZR do spraw relacji z krajami socjalistycznymi. Protest ten został przez Leonida Breżniewa i jego neostalinowską frakcję wykorzystany jako jeden z argumentów w przewrocie pałacowym na Kremlu przeciw Chruszczowowi w 1964 r.

Gomułka się nie mylił. Chiny uzyskały dostęp do broni nuklearnej już w 1964 r. własnym sumptem, ale z pomocą chińskich fizyków wracających do ojczyzny z USA. Układ o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej podpisano w 1968 r. Uprzywilejowaną pozycję państw nuklearnych przyznano piątce: Związkowi Radzieckiemu, Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii, Francji i Chinom. Do dnia dzisiejszego układ ten ratyfikowało 191 państw członkowskich ONZ – z wyjątkiem Indii, Pakistanu, Izraela i Sudanu. Z układu po pewnym czasie wycofała się Korea Północna.

PRL ratyfikowała ten układ w 1970 r. Gomułka był jego gorącym zwolennikiem. W 1967 r., w czasie wizyty w Polsce Indiry Gandhi – ówczesnej premier Indii – usiłował ją przekonać do rezygnacji z prac nad bronią nuklearną i akceptacji układu. Odpowiedziała z godnością: „Pan nie wie, o czym pan mówi. Sąsiad mego kraju na północy, Chiny, rozwija tę broń, Pakistan na wschodzie również. Mój naród przekląłby mnie, gdybym tego zaniechała. Będziemy ten atom mieli, mamy uran, mamy odpowiednich uczonych wykształconych w Anglii, w USA i w Moskwie. Nigdy oczywiście jako pierwsi tej broni nie użyjemy".

Gierkowskie sny o potędze

Edward Gierek w porównaniu z Gomułką był chyba większym nacjonalistą, ale niestety też mniejszym realistą. Łatwiej ulegał mocarstwowym iluzjom i fantazjom, zwłaszcza wówczas, gdy jego polityka odnosiła sukcesy. Tak było w pierwszych latach jego rządów – wtedy w otoczeniu Gierka pojawiły się tendencje do umocnienia pozycji Polski poprzez nawiązanie do tradycji międzywojennych. Przywrócono tradycyjne urzędy starościńskie i wojewódzkie. Planowano zmianę konstytucji i przywrócenie urzędu prezydenta, co pozwoliłoby zalegalizować wiodącą rolę partii w państwie przez powierzenie tego urzędu I sekretarzowi KC. Gierek po pewnym wahaniu z pomysłu prezydentury nakazał jednak zrezygnować.

Z tej fazy mrzonek mocarstwowych wywodzi się legenda o tajemnych pracach nad skonstruowaniem polskiej broni nuklearnej w celu uniezależnienia się pod tym względem od ZSRR. Jak w każdej legendzie tak i w tej tkwi niewielkie ziarenko prawdy – zwielokrotnione, zakłamane i nadinterpretowane. Po upadku PRL powstał nawet film tej legendzie poświęcony.

Prawda zaś była banalna. Generał Jaruzelski zareklamował w otoczeniu Gierka prace naukowe swojego przyjaciela, rektora Wojskowej Akademii Technicznej generała profesora Sylwestra Kaliskiego, wybitnego uczonego, specjalisty od modnych wówczas laserów. Również przyjaźniłem się z Kaliskim i sporo o jego badaniach wiedziałem. Podjął on laboratoryjną próbę wykorzystania laserów do wzbudzenia w próbce deuteru reakcji termojądrowej. Eksperyment rozwijał się obiecująco pod względem naukowym. Znaczenie praktyczne pozostawało bardzo odległe i głównie w dziedzinie energetyki. Kaliski czasami żartował, że opanowanie tej metody być może pozwoliłoby też na łatwiejszą produkcję bomb wodorowych lub przynajmniej neutronowych. To przywódcom politycznym bardzo się podobało.

Pracowałem wtedy w zespole Gierka, gasiłem te nadinterpretacje energetyczne i fantazje militarne. Zwracałem uwagę na długą i kosztowną drogę od laboratorium do przemysłu, a ponadto na przynależność Polski do układu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej, na straży którego stał ZSRR. Rosjanie zresztą natychmiast zainteresowali się pracami Kaliskiego, jego laboratorium zaczął odwiedzać czołowy radziecki specjalista od laserów profesor Nikołaj Basow, laureat Nobla z 1964 r.

Niestety, Sylwester Kaliski był nie tylko wybitnym uczonym, lecz także ubóstwiającym szybkość kierowcą. Latem 1978 r., w drodze na urlop, uległ ciężkiemu wypadkowi w koszalińskim. Zmarł po kilkunastu dniach, nie odzyskawszy przytomności, dramatycznie okaleczył też żonę. To nieszczęście i zbliżający się koniec epoki gierkowskiej sprawiły, że badania Kaliskiego stopniowo wygasły. Legenda dostała się w ręce amatorów teorii spiskowych – we wspomnianym filmie obarczyli nawet KGB odpowiedzialnością za śmierć Kaliskiego. Bez cienia dowodu.

Pora dorosnąć

80 lat doświadczenia ludzkości z bronią nuklearną dowodzi, że pięć mocarstw nuklearnych wyróżnionych w układzie o nierozprzestrzenianiu skutecznie chroni swój wyjątkowy monopolistyczny status posiadania tej broni. Zazdrośnie – jak to widać w Iranie – broni tego statusu. Wyłomy w tym monopolu okazały się nieliczne i w rozmiarach wręcz nikłe. Indie i Pakistan weszły w posiadanie niewielkich jej arsenałów dzięki rozmiarowi tych krajów i tradycyjnemu od dziesięcioleci dostępowi do doskonałych brytyjskich uczelni. Izrael i Korea Północna zaś dzięki szczególnej protekcji; w jednym przypadku USA, a w drugim Chin. Atom przez te kraje uzyskany pozostaje zresztą pod kontrolą protektorów.

Republika Południowej Afryki wyprodukowała kilka bombek jądrowych, wykorzystując swoją izolację w czasie apartheidu i wsparcie potężnego międzynarodowego lobby rasistowskiego. Przezornie zniszczyła ten arsenalik w momencie załamania się apartheidu.

Z pozostałych państw potencjałem gospodarczym i naukowym wystarczającym do zbudowania nuklearnej potęgi dysponują jedynie Niemcy, ale oni wyrzekli się tej broni na zawsze w traktacie pokojowym 4+2 z 1990 r. zamykającym ostatecznie rozliczenia za II wojnę światową.

Polskie marzenia o statusie nuklearnym należy między bajki włożyć. Nie mieszczą się w granicach naszych gospodarczych i naukowych możliwości ani też naszej politycznej samodzielności. Rachuby na to, że atomem podzieli się z nami któreś z mocarstw nuklearnych, też nie wyglądają poważnie. Mocarstwa te zazdrośnie strzegą swego monopolu.

USA i ZSRR, okupując Niemcy, miały w swoich bazach na ich terenie broń nuklearną. Rosja po upadku ZSRR ją wycofała. USA zachowują, a nawet obiecują mgliście, że na wypadek wojny udostępnią sojusznikom. Nie wiadomo jednak, jaką wojnę mają na myśli – zapewne prowadzoną przez NATO, a zatem pozostającą pod ich kontrolą. Donald Tusk w geście mocarstwowej rozpaczy chciałby postawić na Francję, ale realia temu nie sprzyjają. Francuzi swój niezbyt wielki arsenał nuklearny w 80 proc. dostosowali technicznie do atomowych okrętów podwodnych, a w 20 proc. do samolotów klasy Rafale. Polska nie ma ani tych, ani tamtych. Lepiej i zdrowiej byłoby zatem mrzonkami o broni nuklearnej nie mącić w dość i tak słabych narodowych głowach.

ANDRZEJ WERBLAN

eprasa.pl 5e32e32b68

Kołodko wbrew obronności kraju

Byłam na zlocie onuc. W akademii.

Władysław Kosiniak-Kamysz uważa zapewne, że jest niezwykle przebiegły, kiedy proponuje własną wersję prezydenckiego projektu SAFE, bo „jest zainteresowany każdymi pieniędzmi”, toteż wyda i to, co dostanie z UE, i to co z NBP – razem 360 mld zł. Czy naprawdę nikt nie widzi, że w kraju, który przywraca limity na badania wykrywające nowotwory, a równocześnie przeznacza w budżecie 200 mld na MON, pomysł utopienia w zbrojeniach dodatkowych 360 dużych baniek jest szaleństwem?

Nieszczęsne 5 procent

Pytanie było retoryczne. Nieodmiennie widzi to prof. Grzegorz Kołodko, a także – zaskakująco – spora część uczestników jego zeszłotygodniowej konferencji pod przydługim tytułem „Niedomknięte sejfy. Od sporu politycznego do systemowych rozwiązań dla bezpieczeństwa Polski”, zorganizowanej w Akademii Leona Koźmińskiego.

Kołodko jest jedynym polskim intelektualistą (może – dla uczciwości – jedynym powszechnie znanym), który konsekwentnie i jednoznacznie przeciwstawia się temu, co nazywa trafnie „militarnym amokiem”. Jego udział w obecnej zadymie z dwoma sejfami mieści się w tej filozofii: Kołodko nie uważa, że musimy wydawać tak absurdalne pieniądze na zbrojenia, ale skoro już władza jest zdeterminowana, żeby to zrobić – zróbmy to jak najtaniej.

„Jak najtaniej” nie oznacza europejskiej pożyczki na kilkadziesiąt lat, na ponad 3 proc. rocznie, z niemożliwym do przewidzenia ryzykiem kursowym – ale propozycja Kołodki nie ma nic wspólnego także z tym, co przedstawił ostatnio prezes Glapiński i co sprowadza się do księgowej operacji na złocie.

W największym (i zapewne prostackim) uproszczeniu: Kołodko proponuje sprzedać jedną czwartą rezerw NBP – koło 250 mld zł – i przez trzy kolejne lata uzupełniać z tej kwoty budżet MON tak, żeby w efekcie osiągnął poziom 5 proc. PKB („nieszczęsnych 5 proc.” – pisze Kołodko). Co ciekawe, w niedawnej sondzie Money.pl 44,4 proc. pytanych ekonomistów zgodziło się z opinią, że poziom rezerw walutowych NBP jest większy niż wymagany do zagwarantowania stabilności finansowej kraju; dużo mniej, bo 35,5 proc. było przeciwnego zdania. Właścicielem tej rezerwy – przekonuje były wicepremier – jest naród polski i jej nadwyżka może być wykorzystana dla dobra kraju, którego zadłużenie staje się niebezpieczne.

Deficyt finansów publicznych zbliża się do 7 proc. W takiej sytuacji należałoby albo podnieść podatki, albo obciąć wydatki, ale ponieważ obie te opcje są bardzo niepopularne społecznie, rząd wybiera rozwiązanie trzecie – jak ujął to Kołodko: „proste i szkodliwe” – zwiększanie zadłużenia.

Do tej pory można odnieść wrażenie, że Kołodko nie mówi nic, czego nie mówiliby ekonomiści mieszczący się w mainstreamie. Dalej jest ciekawiej.

Co my mamy, czego nie oni nie mają

Konsekwentnie powtarzaną przez rząd i opozycję narrację o tym, że musimy się zbroić za każdą cenę, bo wróg u bram, Kołodko nazywa „indoktrynacją na skalę niebywałą od czasów stalinizmu i maccartyzmu”. To dlatego większość Polaków bezkrytycznie przyjmuje militarny odlot elit. Tymczasem do tego, żeby to niebezpieczeństwo się ziściło, muszą być spełnione dwa warunki: Rosja musi mieć takie intencje i takie możliwości.

Z jednej strony w Polsce nie ma niczego, czego Rosja by potrzebowała – czy też jak ujął to nie bez złośliwości Kołodko: „Co my mamy takiego, czego oni nie mają?”. Z drugiej – Rosja od czterech lat z górą nie jest w stanie poradzić sobie z Ukrainą. Zaatakowanie kraju NATO – czy choćby Unii Europejskiej, która na zbrojenia wydaje trzykrotnie więcej niż Rosja – byłoby kompletnie bez sensu.

Ta ostatnia teza, jak nietrudno było przewidzieć, wzbudziła protest tych, którzy myślą, jak władza każe – choć, co ciekawe, było ich raczej niewielu.

– Putin nie potrzebował Cerkwi św. Zofii w Kijowie, żeby się w niej pomodlić, i tak samo nie potrzebuje Krakowskiego Przedmieścia, nie mamy wyjścia, musimy się zbroić, jeśli mamy inwestować w szkoły zamiast czołgów, to inwestujmy od razu w szkoły rosyjskiego – ironizował subtelnie Maciej Witucki z Konfederacji Lewiatan. Z sali zgodził się z nim Jan Natkański, były ambasador w krajach arabskich, który odnotował, że poza przywoływanymi przez Kołodkę interesami i możliwościami państwa powodem do wojny mogą tym także ambicje przywódców – co zilustrował napaścią Trumpa na Iran. Nie do końca na temat; nikt, poza szczególnie infantylnym rusofobami, nie przypisuje Putinowi demencji.

Inną herezją wygłoszoną przez Grzegorza Kołodkę była pochwała premiera Belgii Barta De Wevera, który stwierdził niedawno, że „dyplomacja jest jedyną realną drogą do zakończenia konfliktu na Ukrainie; skoro nie jesteśmy w stanie zagrozić Putinowi, wysyłając broń na Ukrainę, i nie możemy go udusić gospodarczo bez wsparcia USA, pozostaje nam tylko jedna metoda: zawarcie umowy”… Na co wspomniany już mój faworyt z Lewiatana odparł hardo, że „o dyplomacji będziemy rozmawiać, jak Ukraina będzie wygrywała na froncie dzięki zachodnim pieniądzom”…

Interesujące jest wszakże to, że p. Witucki był w swojej bojowości zupełnie osamotniony. W szerokim zestawie panelistów chętnych do wznoszeni bojowych okrzyków wyraźnie brakowało.

Wyznanie kołodkowe

Zestaw rozciągał się od establishmentu nauk ekonomicznych bliskiego obecnemu obozowi rządzącemu, z profesorami Belką, Orłowskim i Rosatim, po ekonomistów z drugiej strony – byłego posła PiS, a obecnie członka zarządu NBP Artura Sobonia i byłego pisowskiego wiceministra finansów Leszka Skibę, który dziś doradza prezydentowi Nawrockiemu. Pośrodku znaleźli się analitycy rynku, a także konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski.

Podział ról w znacznym stopniu przebiegał zgodnie z oczekiwaniami: Soboń i Skiba chwalili SAFE z NBP, Rosati wyznawał, że jego zagraniczni znajomi nie mogą się nadziwić polskim wahaniom co do SAFE z UE, Orłowski głosił, że „jako ekonomista przyjmuje, że trzeba tyle wydawać, wojsko ma głos decydujący”, a Belka mówił, jak zwykle, że trzeba przyjąć euro – dodając z ryzykowną szczerością, że zabetonuje nas to w Unii, bo koszt wyjścia ze strefy euro „jest niepoliczalny”.



Ale było też kilka zaskoczeń. Prof. Piotrowski – którego autorytetu w zakresie konstytucji nikt nie kwestionuje i któremu trudno zarzucić, że jest pisowcem – powiedział, że rządowa ustawa o SAFE była niekonstytucyjna i taka też jest uchwała w tej sprawie. Godząc się (choć nie wprost) z pisowskim zarzutem dotyczącym warunkowości środków z SAFE, Piotrowski podkreślił, że zgodnie z polską konstytucją i orzeczeniami TK nie można przekazać kompetencji składających się na istotę suwerenności – a do nich należy władza nad armią – jakiejkolwiek organizacji międzynarodowej. Co więcej, także Traktat o Unii Europejskiej stanowi, że bezpieczeństwo narodowe pozostaje w zakresie wyłącznej odpowiedzialności każdego państwa członkowskiego. Tym bardziej uchwała rządu jest niezgodna z prawem – bo tego typu zobowiązanie jest umową międzynarodową, która wymaga ratyfikacji przez prezydenta za zgodą sejmu udzieloną w drodze ustawy. I to nie koniec bluźnierstw. Zdaniem konstytucjonalisty także wszelkie rządowe próby wydobycia pieniędzy z NBP są niekonstytucyjne, albowiem władza wykonawcza nie ma prawa naciskać na bank centralny w kwestii dysponowania jego zasobami.

Zaskoczył mnie także Piotr Kuczyński – główny analityk DI Xelion i swoisty ekonomiczny celebryta – który wprawdzie nie poparł koncepcji wyjęcia środków z rezerwy NBP, ale przedstawił bardzo interesujące uzasadnienie. Otóż taki ruch wiąże się z „moralnym hazardem” – jeśli jedna ekipa naruszy rezerwy na rzecz zbrojeń, to co powstrzyma inną przed naruszeniem ich „w celu bardziej istotnym: ochrony zdrowia” – po czym dodał, że „jest wyznania kołodkowego”: czyli przeciw rozszalałbym zbrojeniom ze szczególnym uwzględnieniem wydawania na czołgi i haubice, czyli przygotowywania się do wojny, która już była.

– Nawet jeśli przyjmiemy, że to wojsko ma decydować, na co wydawać, to nie wojsko ma decydować ile. Od tego jest cywilna kontrola nad armią

– wywrotowo zakończył dyskusję Grzegorz Kołodko, polemizując z Witoldem Orłowskim.

– Fundamentalnie nie zgadzam się z prezesem Wituckim, że barbarzyńcy stoją u bram, że rosyjska armia za chwilę będzie tankowała czołgi na stacjach Orlenu. Gdyby tak było, to nawet 5 proc. na obronę mogłoby być za mało. Ale tak nie jest. Rafał Dutkiewicz powiedział swego czasu, że aby Tusk z Jarosławem podali sobie rękę, Ruscy musieliby stać na granicy. Otóż nie stoją – podsumował prof. Kołodko.

Nie wiem, jak Państwo, ale ja uważam to za pointę optymistyczną.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Komunizm, którego nigdy nie było

Poszłaby siedzieć – tylko za co?

Wielcy myśliciele, czyli politycy parlamentu, w 2023 r. zaostrzyli kodeks karny tak, by ścigał i karał bezwzględną karą więzienia „propagowanie komunizmu”. Przepis stanowi, że „kto publicznie propaguje nazistowski, komunistyczny, faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega karze” – a dodatkowo rozszerza karalność na „propagowanie każdej ideologii, która nawołuje do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne”. Obecnie za propagowanie komunizmu grozi kara pozbawienia wolności do trzech lat, a sąd nie ma możliwości zasądzenia wolnościowych środków karnych. No i pięknie.

Problem w tym, że wybrańcy narodu w żaden sposób nie zdefiniowali ani „komunizmu”, ani „ideologii”. Dlatego, i przed, i po owym historycznie znamiennym fakcie kretyni różnej maści bezmyślnie i bezkarnie plotą o komunizmie w PRL, komunistach w PZPR i komuchach w SLD. W Polsce Ludowej komunizmu, bóg mi świadkiem, nie było, a w PZPR, ani tym bardziej w SLD, żadnego żywego komunisty nie widziałam.

Wybrańcy narodu nie pogrzebali w książkach i na skutek tego zaniedbania nie dali rady zdefiniować zagrożonych karą pojęć „komunizm” i „ideologia”. Wskutek tego w ich mniemaniu komunistami są nawet Leszek Miller i Włodzimierz Czarzasty, a ideologią stał się ruch LGBT oraz każdy pojedynczy trans i homoseksualista. Używają w prawie karnym pojęcia „komunizm”, jakby chodziło o realny ustrój, który gdziekolwiek zaistniał, a nie o XVIII-wieczną ideę egalitarnego społeczeństwa bez klas i własności prywatnej. W praktyce władza wrzuca do jednego worka PRL, stalinizm, nazizm i „inne totalitarne ustroje”, udając, że wszystkie są poręcznymi etykietkami, które można dowolnie nakleić na przeciwnika politycznego. PRL był państwem autorytarnym, ale komunizmu nie było tam za grosz, podobnie jak nigdzie nie ma „demokracji liberalnej” z podręczników.



Problemem nie jest idea komunizmu, tylko totalitaryzm. To w tej rodzinie mamy stalinizm, nazizm, faszyzm i współczesne projekty państw całkowitej kontroli społeczeństwa. Art. 256 k.k. niby to dostrzega, bo karze też za pochwałę „innego totalitarnego ustroju państwa”, ale w praktyce używa słowa „komunizm” jak politycznej pałki, a nie filozoficznego terminu. To dokładnie ta sama logika, która każdą krytykę kapitalizmu i neoliberalizmu z automatu ochrzci „komuną”, a następnie, skoro już jest paragraf, potencjalnie czymś „podejrzanym”.

Dla mnie, demokratki i socjalistki, każdy totalitaryzm jest nie do przyjęcia, a wszelka przemoc jest ohydą i głupotą.

Ale zastanawiam się: skoro komunizm jest ideą, która w czystej postaci nie zaistniała, to co dokładnie mam „propagować”, żeby zasłużyć na trzy lata więzienia – zniesienie klas, wspólnotową własność czy może frazy z „Manifestu komunistycznego”?

Zamiast uczciwie powiedzieć: penalizujemy pochwałę totalitaryzmu, czyli ustrojów, które negują podstawowe prawa człowieka i opierają się na terrorze politycznym, państwo woli wyciągnąć z lamusa widmo o imieniu „komunizm” i zawiesić je nad społeczeństwem jak odstraszającą kukłę. Dzięki temu można udawać, że walczy się z totalitaryzmem, jednocześnie ignorując realne tendencje autorytarne – inwigilację, upartyjnienie instytucji, policyjną przemoc, ekonomiczne zniewolenie – bo przecież „to nie komunizm, to tylko demokracja, taka trochę bardziej stanowcza”.

Do tego dochodzi paragraf o „każdej ideologii” wzywającej do przemocy – tak pojemny, że mieści zarówno stalinizm, jak i najbardziej rozbuchany nacjonalizm, ale dziwnym trafem ustawodawca, ograniczony własnymi emocjami, koncentruje się na „komunizmie”. Klasyczny marksizm, anarchokomunizm czy radykalna socjaldemokracja – czyli nurty, które właśnie totalitaryzm krytykują – teoretycznie wypadają poza zainteresowanie przepisu, bo nie postulują „siłowego przejęcia władzy” ani terroru. Ale to tylko teoria. W razie potrzeby zawsze można będzie dorobić komuś „ideologię przemocy”, jeśli za mocno podważy świętość rynku i własności prywatnej oraz przywództwo autokratycznej, a może i zwyczajnie totalitarnej, władzy prawicowo-nacjonalistycznej. Zatem moje (i Twoje) szanse na trzy lata w pace w niedalekiej przyszłości nie są zerowe.

ANNA GRODZKA


Ilustr. PAWEŁ FERENC

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Premier marzeń Przemysław Czarnek mógł ogłosić następujące inicjatywy ustawodawcze Prawa i Sprawiedliwości:

1) Obowiązkowe posiadanie gekona lamparciego przez każdego obywatela Polski w wieku od 18 do 65 lat;
2) Wystąpienie Polski z Unii Europejskiej i wstąpienie do Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej;
3) Urzędowe uznanie szczepionek za narzędzie, którym posługuje się bies;
4) Obwołanie świętym Lecha Kaczyńskiego, a Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Trumpa – błogosławionymi.
5) Wprowadzenie programów „Strzelnica w każdym powiecie” oraz „Boisko do palanta w każdej gminie”;
6) Ograniczenie posługiwania się kartami kredytowymi do dwóch dni w tygodniu: czwartku i niedzieli – i to tylko dla osób LGBTQ+. Dla osób heteronormatywnych jedynie czeki i gotówka przez okrągły tydzień;
7) Zmiany w programach szkolnych na każdym poziomie nauczania: kreacjonizm zamiast ewolucjonizmu i magia zamiast racjonalizmu;
8) Uznanie Donalda Tuska za wroga ludu, wygnanie go z kraju i torturowanie go w miejscu, w którym osiądzie.

Zamiast nich Czarnek ogłosił następujące projekty:

9) Masowe wydobycie węgla kamiennego i brunatnego pod hasłem „powrotu do normalności” oraz uznanie, że „nie ma żadnego ETS-u”;
10) Obniżenie podatku VAT na żywność z 5 do 0 proc.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 5e32e32b68

GADMAN

W poszukiwaniu utraconych świąt

Czasem mundurowy chciał aresztować kamień

W tamtych czasach podczas Wielkiego Tygodnia nie rozmyślałem tyle o Męce Pańskiej co teraz.

Mieszkałem w świętym mieście Częstochowie w domu rodziców moich, którzy piekarnię tam mieli. Na ulicy Armii Ludowej, wcześniej Ogrodowej, jeszcze wcześniej Orlicz-Dreszera, teraz znów Ogrodowej. Rzut beretem od Bazyliki Świętej Rodziny, zwanej Katedrą.

Tam przez ponad dekadę rodzina nasza własną ławkę miała. Nie dlatego, że dewocyjna była. Wedle rodzinnej legendy Dziadek kamienie na budowę Katedry woził, Tatuś zaś na pewno sponsorował Niższe Seminarium Duchowne na Piotrkowskiej. Też rzut beretem, ale w inną stronę.

Środa

O Wielkanocy rozmyślałem już w Wielką Środę. Dniu, kiedy Judasz naszego Jezusa zdradził, kasę wziął, ale nie poużywał sobie, tylko się głupi powiesił.

W środę koleżanki szły do spowiedzi. Zaraz po pierwszej komunii ja i kolesie ze Stawowej przestaliśmy się spowiadać. Tylko dwaj ministranci z Mokrej dalej musieli chodzić. W Wielką Środę z dziewczynami razem. Wstyd na całą dzielnicę. Najgorzej było, kiedy na księdza Suskiego trafili, bo jak nam mówili: „chuj jebany o wszystko pyta".

My zamiast o grzechach rozmyślaliśmy, skąd tu dobry kamień skołować. Szybko, aby ci z Krakowskiej nas nie ubiegli. Dlatego Stawowa nawet nad Kucelinkę szła szukać. Wózek mieli dziecięcy, po siorze, która wyrosła, w sam raz do przywiezienia kamienia.

W środę chodziłem pod „Zapałczarnię", dziś Muzeum Zapałek, rzut beretem od mego domu. Robotnicy wynosili mi stamtąd siarkę potrzebną do zrobienia kalichlorku. Za to w piątek wynosiłem im świeży chleb na święta. Potem dowiedziałem się, że to barterem się nazywa.

Siarkę starannie mieliłem, mieszaliśmy ją z saletrą skołowaną przez kolesia z Przechodniej, i pakowaliśmy to do małych płóciennych woreczków. Szyła je ta siora, która z wózka wyrosła.

Czwartek

W Wielki Czwartek rozmyślałem, gdzie domownicy pochowali koszyczki i baranki do święconki. Baranki zawsze mieliśmy solidne. Porcelanowe, srebrzone, z drewnianą chorągiewką. Kupione na lata.

Żaden cukrowy, farbowany szmelc, na widok którego krzywiła się Mamusia moja.

A ja tęskniłem za tym szmelcem, bo poświęcony od razu trafiał do gąb moich kolegów, a moich baranów ugryźć się nie dało. Ale kolesie dzielili się, było git.

Święconka w świętej Częstochowie musiała być na bogato. Co najmniej kilka jaj, ugotowanych na brązowo w łupinach cebuli. Do nich zdobione, kupne pisanki. Nie do jedzenia, tylko do patrzenia. Chleba spory kawałek.

Nam i znajomym Tatuś specjalne chlebki do święconki wypiekał.

Do tego koniecznie kiełbasy kawał, czosnkowej najlepiej, bo skoro Jezus Żydem się urodził, to czosnek musiał lubić. Chrzan też musiał być, tarty, zajebiście ostry. Sól i pieprz na pamiątkę Męki Jezusowej. Babki lukrowanej kawał na Męki Jego osłodę.

Nam i znajomym Mamusia specjalne drożdżowe babeczki wypiekała. No i, jak wisienka na torcie, koniecznie baranek.

Albo kurczaczek. Ale kurczaczki ksiądz Suski tępił jako przejaw resztek pogaństwa. „Tylko baranek, koszyków z kurami nie święcę", ostrzegał.

„Chuj ci w dupę jebany pedale", mruczeli koledzy ministranci, a dziewczyny chichrały się i pytały, czemu pedał, skoro samochodem jeździ.

Dlatego baranki wkładali koledzy na górę koszyka, a kurczaka pod serwetkę i bukszpan. Zakładali się wtedy, czy „chuj" go zauważy. O pęczki kalichlorku.

W tamtych czasach nie wkładano do święconek zajączków, zwłaszcza z czekolady. Nie było ich w sprzedaży. Poza przemycanymi z ówczesnej NRD, postrzeganymi jako niemieckie dziwactwo. Nie było też dzisiejszego zwyczaju wielkanocnego szukania czekoladowych jajeczek przez dzieci. Bo jaj takich też nie było.

Piątek

W Wielki Piątek „Żydzi nam Jezusa ukrzyżowali", mawiała moja niania Lucia i dlatego w ten piątek wielki post w domu obowiązywał. Jeść niczego nie należało, a już broń Boże zwierzęcego mięsa.

Jednocześnie tego dnia zaprzyjaźniony pan rzeźnik przywoził intensywnie pachnącą, świeżo uwędzoną wielką szynkę z szynki prawdziwej. Takich szynek nie ma już w naszym kraju. Dziś świąteczne, oferowane przez markety szynki robione są z prasowanych, farbowanych ochłapów mięsa. Widziałem niedawno promocyjną „szynkę", firmowaną przez tradycyjną, kiedyś polską, markę, z informacją, że „zawiera 80 procent mięsa".



Rys. TOMASZ WIATER

Bez info, z czego jest to pozostałe 20 proc. Gdyby tylko z soi, to nie byłoby źle. Jeszcze więcej soi w takiej „szynce" czyniłoby z niej produkt wegetariański. Wyglądający jak szynka, smakujący prawie jak ona, i dopuszczony do spożycia nawet w postny Wielki Piątek!

Pan rzeźnik przywoził też kiełbasy. Palcówki i „z kija". Wszystkie z prawdziwego mięsa, bez niemięsnych procentów. Wisiały na kijach pod sufitem. Pachniały bardziej apetycznie niż szynka z szynki prawdziwej. Zakazanej w piątek szynki nie dało się ugryźć bez pozostawienia śladu. Skradzionego kiełbasianego pęta domownicy mogli się nie doliczyć.

„Jeśli zjesz kiełbasę w Wielki Piątek, to tak obrazisz Pana Boga, że za karę ręka ci uschnie", przestrzegała mnie przed grzechem Lucia.

Nie uschła, właśnie piszę nią teraz. Czy wtedy łaskę wiary straciłem?

Sobota

W Wielką Sobotę uczniowie po złożeniu ciała Jezusa do grobu mieli przeżywać trudny czas niepewności.

Moim kolegom też było niepewnie, bo Suski zawsze mógł kurczaczka w koszyczku wypatrzeć i grożąc kropidłem z katedralnego raju wygnać.

Wtedy trzeba było szybko dymać do św. Zygmunta, rzut beretem od Katedry. U Zygmunta kurczaki święcili bez wybrzydzania. W mojej świętej Częstochowie wielki post kończył się zaraz po poświęceniu święconek. Już na placu katedralnym opychaliśmy się kiełbasą z koszyków, zagryzając ją barankami. Kurczakami też, jeśli z cukru były.

Potem luz już był. Jedynie galanciki pilnowali, aby mamy wyprasowały im gajerki i koszule. Pastowali swoje kalipsiaki. Glancowali je na błysk. Szykowali się na rezurekcję.

Wielka Niedziela

Mam jako dziecko piekarskie gen wstawania o poranku. W niedzielę wielkanocną już o piątej byłem na nogach. Biegłem na rezurekcję do Katedry, rzut beretem od domu mego. Tym razem nie bałem się spóźnić na mszę, tylko chciałem zająć najlepsze miejsce pod kościołem. Ubiec ekipę z Krakowskiej. Pilnowałem wybranego kawałka ulicy, kocimi łbami wybrukowanego wtedy, czekając na kamień jadący już ze Stawowej i wybuchowe pęki z Przechodniej.

Wszystko mieliśmy opanowane do perfekcji. Na płaskim kocim łbie układaliśmy pęk kalichlorku. Udeptywaliśmy go delikatnie długim noskiem błyszczącego kalipsiaka. Potem trzeba było dźwignąć kamień, wysoko ponad głowę, i walnąć nim w udeptany pęk. Zrobić szybki obrót i pobiec do przodu. Odskoczyć przed wybuchem.

Tylko chwila zwłoki i mogło się zdarzyć, że wybuch i gejzer iskier wypalały w wyprasowanych na kant spodniach koronkę dziurek lub pozostawiały niezatarty już ślad na wypastowanych kalipsiakach.

Pierwszy huk, gromkie „Alleluja" wraz z nim, zawsze należał do nas.

Pierwsi oznajmialiśmy miastu naszemu i światu, że Chrystus zmartwychwstał. Co poświadcza kamień z Grobu Jego leżący teraz na częstochowskich kocich łbach. Kolejne huki nadchodzących ekip z Krakowskiej, Strażackiej, Garncarskiej czasem były już wtórne.

Na mszę rezurekcyjną do kościoła nie wchodziliśmy. Znaliśmy jej przebieg, niezmienny od lat. Udział w procesji trzykrotnie okrążającej Katedrę też nas nie kręcił.

Waliliśmy w pęki do wyczerpania zapasu. Chyba że wcześniej zjawił się jakiś mundurowy, zwykle nowy w dzielnicy, aby spokój przywrócić. Wtedy wypieraliśmy się naszego kamienia, jak Piotr Jezusa w Wielki Wtorek. Czasem mundurowy chciał aresztować nam kamień, ale kiedy był bez wózka, to nie musieliśmy szukać nowego w roku następnym.

Po rezurekcji każdy z nas szedł do domu na tradycyjne wielkanocne śniadanie. Kanonadę kiełbas, pasztetów, salcesonów i wędlin.

Lany Poniedziałek

Już od rana budzili mnie sąsiedzi. Przychodzili oblać moją Mamusię i tak dopełnić zwyczaju Lanego Poniedziałku. Przy okazji chcieli wkupić się w jej łaski, bo jako „Majstrowa" decydowała, kto z okolicy dostanie chleb bez kolejki, kto deficytowe chałki, i komu piekarze to wszystko dobrze wypieką. Przychodzili oblać galantnie, nie wodą z kranu, tylko skropić perfumami. Obficie, tak na bogato. Ponieważ Mamusia pokropków odmówić nie mogła, bo z ludźmi żyć trzeba, to rychło w domu pachniało jak w perfumerii radzieckiej.

Wtedy szliśmy na „belki". Skład wielkich drewnianych bali należących do „Zapałczarni". Tam wdrapywaliśmy się na ich szczyt, aby podglądać kolejarzy uprawiających na dole seks ze swymi damami.

Ale w Lany Poniedziałek braliśmy też balony wypełnione wodą i zrzucaliśmy na nich z góry. Przed ucieczką jedna z koleżanek krzyczała do nich: „Umyj się przed tym, śmierdzielu!".

Wtedy nie wiedziałem, o co jej chodzi.

PIOTR GADZINOWSKI

Święto wiosny

Życzenia dla ateistów

ETYKA BEZBOŻNA

Nie, nie będzie to o słynnym balecie Igora Strawińskiego o takim właśnie tytule (choć bardzo zachęcam do obejrzenia!), lecz o przetaczającym się przez całą północną półkulę świętowaniu nadejścia wiosny i moralnym znaczeniu tych świąt.

Po pierwsze to wszystkiego najlepszego dla Czytelniczek i Czytelników NIE od Waszego redakcyjnego ateistycznego kaznodziei! Odrzućcie stare skorupy, wyłaźcie ze swych suchych wylinek i biegnijcie ku słońcu odmłodzeni i oczyszczeni ze złych myśli!

Taki bowiem jest sens tych wspaniałych świąt nadziei i odnowy. Nie one jedne napędzane są nadzieją i wiarą w oczyszczenie – bo przecież taki sens ma również zimowe święto noworoczne, związane z początkiem wydłużania się dnia – lecz święto wiosenne jest w każdej kulturze ważniejsze i głębsze. Albowiem właśnie odrodzenie wegetacji, a nie samo tylko przybywanie dnia naprawdę działa na ludzką wyobraźnię i emocje. To z powodu tych listków i kwiatków świętujemy w Europie i w Azji, opowiadając sobie najważniejsze dla naszych plemiennych tożsamości historie. A są to historie o tym, że coś się kończy i odchodzi w przeszłość, a coś nowego się zaczyna. Dokładnie tak jak rośliny, które sczezły, a teraz znów wychodzą z ziemi. Odradzają się, a wraz z nimi odradzają się bóstwa.

Wiosenna euforia, która stanowi prawdziwy powód naszego świętowania, jest, owszem, zjawiskiem fizjologicznym. Bakterie w glebie zaczynają wydzielać substancje lotne działające pobudzająco na nasze „układy nagrody", które nosimy pod czaszkami. Tylko że to taka sama mądrość jak nazwanie gry na skrzypcach pociąganiem końskim włosiem po baranich jelitach (sprawdza się to w odniesieniu do baroku). Niewiele nam to mówi o istocie muzyki. Również nasze przeżycia wiosenne i świąteczne mają swój autonomiczny i istotny sens, którego nie ma potrzeby umniejszać i dezawuować z powodu tej całej fizjologii i psychologii, jakie za nim stroją.

Dobre, a nawet uroczyste samopoczucie człowieka, który spragniony ciepła i słońca wychodzi na dwór ze swych zimowych pieleszy, to piękne i obiecujące podłoże dla pięknych myśli i zamiarów. Obiecujemy wówczas nie tylko sobie, lecz całemu światu, wszystkim ludziom, że teraz już będzie lepiej. I jeśli nie jest to jedynie nadzieja na jakieś sprzyjające okoliczności i dary losu, lecz nadzieja, że samemu (samej) będzie się jakoś lepszym człowiekiem, to jest to gest i akt moralny. I to znaczący, budujący. Nawet jeśli trwa niedługo i szybko o tym chwilowym uwznioślaniu i zbudowaniu zapominamy, to zostawia w nas ono ślad. Gdy w święta przez chwilę jesteśmy – jak to się dziś zabawnie powiada – lepszą wersją samych siebie, to i wówczas, gdy przygnębiająca powszedniość oddala nas emocjonalnie od tych dni, gdy czuliśmy się odświętnie i pięknie, wspomnienie jednak zostaje.

Święta tworzą nam kalendarz życia – ten wspólny i ten osobisty. Żyjemy od świąt do świąt, dzięki czemu codzienność nie jest niekończącym się znojem i szarą drogą bez końca, lecz interwałem, odcinkiem między świętami. Jest w tym zresztą pewna pułapka. Albowiem gdy tak nieustająco czekamy na wolne, to właściwa treść naszego życia, czyli to, co wydarza się w codzienności, ulega swego rodzaju unieważnieniu. Gdy zaś deprecjonujemy swoje codzienne życie, to i świąteczna obietnica traci sens. Po co mieć nadzieję na lepsze, skoro chodzi tylko o to, by doczekać kolejnego wolnego?

Wynika stąd ważny wniosek: kto chce pięknie świętować, ten musi prawdziwie żyć. Bo święta dotyczą życia i wcale go nie zastępują. Jeśli uda nam się wzmocnić moralnie w te dni, gdy możemy skupić się na wzniosłych myślach, na tym, co najlepsze w życiu naszych rodzin i społeczności – to żniwo z tego posiewu zbierać będziemy w ciągu kolejnych tygodni i miesięcy. Owszem, na pewno znów zbierze się nam w duszy namuł złych emocji, zawiści, rozczarowania, złości i smutku, ale gdy cały ten szlam spływać będzie w opróżnione w święta „szambo" na dnie duszy, to jest szansa, że nas nie zaleje i nie zatruje.

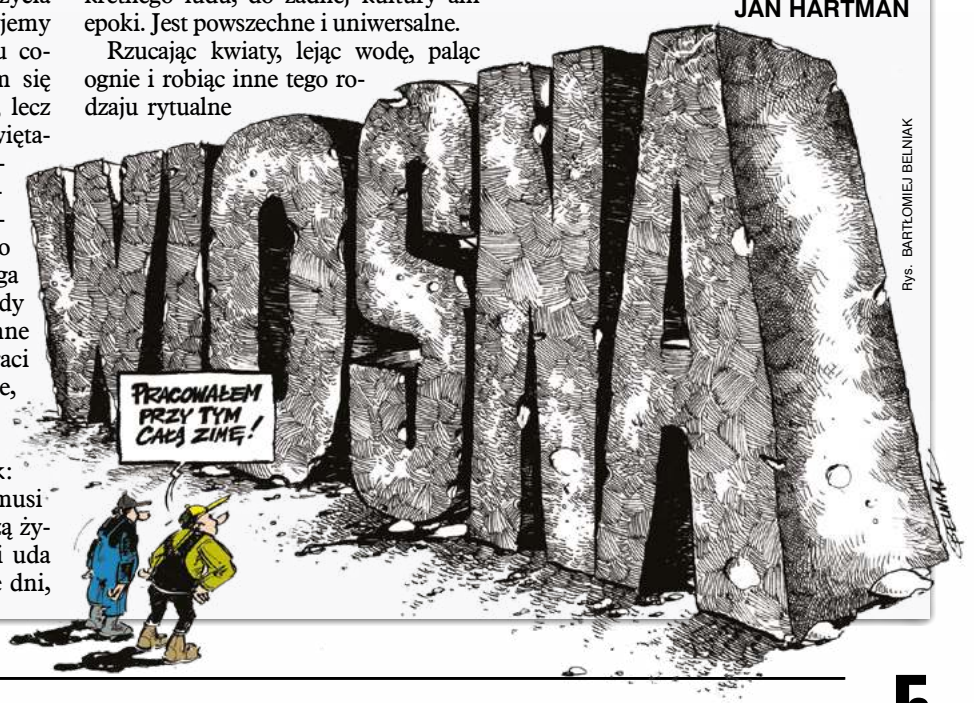
Święta, a zwłaszcza to święto wiosny, które radosnym śmiechem niesie się przez kilka tygodni wskroś kontynentów północnej hemisfery, mają jeszcze jeden bezcenny wymiar. Otóż święto tak ściśle związane z przyrodą jak nasza Wielkanoc nie należy do żadnego konkretnego ludu, do żadnej kultury ani epoki. Jest powszechne i uniwersalne.

Rzucając kwiaty, lejąc wodę, paląc ognie i robiąc inne tego rodzaju rytualne gesty, niezależnie od takich czy innych towarzyszących temu opowieści o bóstwach i duchach, nawiązujemy łączność z przodkami i z miliardami nam współczesnych, którzy robią to samo wiele tysięcy kilometrów od nas.

I jest w tym kosmopolityzmie świąt coś bardzo pięknego. Choćby nie wiem jak kapłani się wysilali, by narzucić nam swoją mitologiczną narrację, my i tak swoje wiemy.

My tu, w większości – jak sądzę – jesteśmy niewierzący. Ale też w większości jesteśmy świętujący. Nie ma w tym żadnej sprzeczności, a nasze świętowanie nie jest żadnym „kultywowaniem tradycji". Święto wiosny dotyczy wszystkich, bo dla wszystkich i do wszystkich przyszła wiosna! Niech się mai!

JAN HARTMAN



Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

eprasa.pl 5e32e32b68

Wszystkie potwory Zachodu

Obrazoburcze tezy Emmanuela Todda

Mija właśnie 1500. dzień rosyjskiej agresji na Ukrainę, a niedawno mieliśmy miesięcznicę ataku Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran. Trzeba uczciwie powiedzieć, że obie wojny wstrząsnęły globem – przy czym bliskowschodnia ma potencjał wysadzenia całego świata, jaki obecnie znamy. Nudzi mnie coraz bardziej powtarzanie banałów i frazesów o dobrym, demokratycznym i liberalnym Zachodzie, który musi mierzyć się z fanatycznymi dyktatorami z Moskwy i Teheranu.

Szukając intelektualnego tlenu, sięgnęłam po świeżo wydaną po polsku książkę francuskiego historyka i demografa Emannuela Todda „Klęska Zachodu". Todd to tęga głowa – dokładnie pół wieku temu przewidział rozpad Związku Radzieckiego, choć książka z 1976 r. „Ostatni upadek. Esej o rozkładzie sfery radzieckiej" zaczęła święcić triumfy dopiero po rozpadzie bloku wschodniego, gdy dostrzeżono głębię jego analizy.

A zatem niech będzie jak w filmach Hitchocka: najpierw wybuch bomby, a potem napięcie będzie narastać.

We wstępie „Klęski Zachodu" francuski autor wykłada kawę na ławę, pisząc, że Zachód stoi u progu katastrofy: „Zbliża się moment przełomowy, po którego przekroczeniu ujawnią się ostateczne skutki klęski. »Reszta świata« (Globalne Południe czy też Globalna Większość), która dotąd ograniczała się do wspierania Rosji poprzez odmowę bojkotowania jej gospodarki, otwarcie deklaruje teraz poparcie dla Władimira Putina. BRICS się rozszerza, przyjmując nowych członków i zacieśniając więzi. Naciski Stanów Zjednoczonych, by jednoznacznie opowiedzieć się po którejś ze stron, sprawiły, że Indie wybrały niezależność: zdjęcia ukazujące Putina, Xi i Modiego podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w sierpniu 2025 pozostaną symbolem tego przełomowego momentu"…

Inaczej o Rosji

Kiedy USA i Unia Europejska nakładały na Rosję kolejne rundy sankcji, w przestrzeni medialnej pojawiały się głosy, że lada dzień dotknięty nimi reżim Putina upadnie, a cała gospodarka runie w otchłań wielkiego kryzysu. Nic takiego się nie stało.

Ku zdziwieniu różnej maści „ekspertów" wykopanie Rosji z międzynarodowego systemu bankowego SWIFT, wycofanie się krajów unijnych ze sprowadzania ropy naftowej i gazu ziemnego nie rzuciły Rosji na kolana. Kraj ten okazał się niezwykle odporny ekonomicznie, politycznie i militarnie.

Todd podkopuje również bajania o Putinie jako nowym Stalinie i masie tępych Rosjan wpatrzonych w kremlowskiego satrapę gnębiącego ich dzień po dniu. Nie trzeba mu wierzyć na słowo, niech przemówią twarde i przez nikogo nienegowane dane statystyczne: „W latach 2000–2017, czyli w kluczowej fazie putinowskiej stabilizacji, wskaźnik zgonów z powodu alkoholizmu spadł w Rosji z 25,6 do 8,4 na 100 tys. mieszkańców, wskaźnik samobójstw – z 39,1 do 13,8, a wskaźnik zabójstw – z 28,2 do 6,2. Oznacza to, że liczba zgonów z powodu alkoholizmu zmniejszyła się z 37 214 rocznie do 12 276, liczba samobójstw – z 56 934 do 20 278, a liczba zabójstw – z 41 090 do 9048".

Todd dodaje, że przez pierwsze dwie dekady XX w. wskaźnik zabójstw w Rosji zmniejszył się sześciokrotnie, samobójstw – 3,6 razy, a śmiertelność niemowląt zmalała z 19 do 4,4 na 1000 żywych urodzeń – zauważając nie bez złośliwości, że w USA odsetek ten wynosi 5,4. „Ten ostatni wskaźnik, ponieważ dotyczy najsłabszych członków społeczeństwa, ma szczególne znaczenie dla oceny jego ogólnej kondycji" – pisze Todd.

Co więcej, Rosjanie są nieźle wykształceni. W 2020 r. kierunki inżynierskie skończyło 23,4 proc. ludności – nieco mniej niż w Niemczech, ale grubo ponad trzy razy więcej niż w USA (7,2 proc.). Innymi słowy, mimo iż Rosjan jest ponad dwa razy mniej (146 do 330 mln), rosyjskich inżynierów jest o połowę więcej.

Todd przywołuje amerykańskiego twórcę „realizmu ofensywnego" Johna Mearsheimera. Wedle tego nurtu stosunki międzynarodowe stanowią rezultat siłowych zmagań między egoistycznymi państwami narodowymi. Zdaniem Todda „jego analizę można streścić w następujący sposób: Rosja od lat powtarzała, że nie zaakceptuje wstąpienia Ukrainy do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Tymczasem Ukraina, której armia znalazła się pod nadzorem natowskich doradców wojskowych – amerykańskich, brytyjskich i polskich – stawała się nieformalnym członkiem sojuszu. Rosjanie zrobili więc to, co zapowiadali – sięgnęli po rozwiązanie militarne. W gruncie rzeczy to nasze zaskoczenie było zaskakujące".

Mearsheimer przewidywał, że Rosja wygra wojnę, gdyż dla niej Ukraina to sprawa najwyższej wagi, a Waszyngton – oddalony o 8 tys. kilometrów – gra wyłącznie o marginalne korzyści.

Samobój Ameryki

Wiele spostrzeżeń Todda nabrało z czasem coraz większej aktualności.

Po pierwsze, nie sposób zaprzeczyć, że generalnie kraje UE (z chlubnym wyjątkiem Hiszpanii) chodzą na krótkiej smyczy USA, nie mogąc wyjść z szoku, że z kręgów trumpowskich elit wychodzą notorycznie pomysły inwazji na terytorium państwa unijnego – należącej do Danii Grenlandii. Powiedzieć, że europejscy członkowie NATO dostali obuchem po łbie, to nic nie powiedzieć, skoro Duńczycy już podobno zaplanowali na ewentualność ataku zniszczenie lotnisk grenlandzkich…

Po drugie, faktycznie Zachód zżera wirus nierówności mający istotny komponent kulturowy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jak podkreśla Todd, „masowy dostęp do wyższego wykształcenia tworzy społeczeństwa rozwarstwione, w których osoby z wyższym wykształceniem – 20, 30 czy nawet 40 proc. populacji – zaczynają żyć we własnej bańce, uważać się za lepsze, gardzić środowiskami ludowymi i odmawiać pracy fizycznej czy w przemyśle". Jeżeli wytępienie analfabetyzmu karmiło demokrację i podświadomość równościową, to powszechność wyższego wykształcenia przyczyniła się do wyłonienia plutokracji owładniętej ideami nierównościowymi.

Po trzecie, powoli rezygnując z prób kontroli nad Rosją i Chinami,

USA „zwracają się z werwą przeciwko swoim europejskim i wschodnioazjatyckim »sojusznikom« w ostatnim wysiłku nadmiernej eksploatacji, ale też – trzeba to przyznać – ze zwykłej frustracji. Chcąc uciec przed upokorzeniem, ukryć przed światem i sobą własną słabość, wymierzają karę Europie"

– przekonuje Todd. „Imperium pożera samo siebie. Taki właśnie sens miały taryfy celne i przymusowe inwestycje narzucone przez Trumpa Europejczykom – raczej kolonialnym sługom kurczącego się imperium niż rzeczywistym partnerom".

Po czwarte, nie sposób wykluczyć, że ostateczne porzucenie Ukrainy przez Waszyngton „będzie miało dla Imperium skutki dramatyczne, znacznie poważniejsze niż te po wojnach w Wietnamie, Iraku czy Afganistanie. Mamy tu bowiem do czynienia z pierwszą strategiczną klęską Ameryki o wymiarze globalnym, w kontekście masowej deindustrializacji Stanów Zjednoczonych i trudnej, zaledwie rozpoczętej reindustrializacji. Chiny stały się fabryką świata – ich bardzo niska dzietność co prawda uniemożliwi im zastąpienie Stanów Zjednoczonych, ale na konkurencję przemysłową jest już za późno".

Co z tym Iranem?

Todd zwraca słusznie uwagę na fakt, że działania amerykańskie doprowadzają do powstania i scementowania sojuszów, które – jeśli spojrzeć historycznie – są na wskroś egzotyczne. I tu przechodzimy do obecnej rozpierduchy na Bliskim Wschodzie.

Iran tradycyjnie miał dwóch wrogów: Wielką Brytanię (a potem jej następczynię w regionie, Amerykę) i Rosję. Fakt, że ajatollahowie wsparli bardzo mocno technologiami wojskowymi Putina, jest wręcz szokujący. Okazało się, że masowo produkowane drony Szahid – niczym dobre tanie wino w czasach licealnych, czyli: dobre, bo tanie – stanowią niemały problem dla ukraińskiej obrony przeciwlotniczej. Rację miał Marks: ilość przeradza się w jakość!

Kiedy Trump i Netanjahu wysłali rakiety i bombowce na Teheran, przyjaciel Putin nie zapomniał o irańskim sojuszniku, odsyłając unowocześnione już drony i dzieląc się informacjami wywiadowczymi. Innymi słowy, postąpił podobnie do Amerykanów na Ukrainie, czemu nikt przy zdrowych zmysłach nie może się dziwić…

Najtragiczniejsze z punktu widzenia USA jest to, że im bardziej szarżuje na Bliskim Wschodzie, tym bardziej osłabia swoich arabskich klientów (bo przecież nie partnerów), takich jak Zjednoczone Emiraty Arabskie, Arabia Saudyjska, Katar czy Bahrajn. Już dziś płacimy za bezmyślność Trumpa na stacjach benzynowych, co przełoży się na znaczący wzrost inflacji, a także utratę miejsc pracy.

Jednocześnie zaś blokowanie cieśniny Ormuz, irańskie ataki na instalacje wydobycia, przerobu i przesyłu węglowodorów powodują, że dziesiątki dodatkowych miliardów wpływają do budżetu Federacji Rosyjskiej. Jak się nie obrócić, dupa z tyłu.

Oczywiście jest parę słabych punktów „Klęski Zachodu", bo Rosja niekoniecznie jest państwem narodowym, a raczej imperium postmodernistycznym, którego władze wspierają jednocześnie grupy skrajnie prawicowe w jednych krajach i lewackie w innych. Nie wierzę też diagnozie Todda, że „Moskwa nie zadowoli się niczym innym jak pełnym zwycięstwem". Gdyby tak było, Putin od dawna nie chciałby się porozumieć.

Nie zmienia to faktu, że francuski historyk włożył kij w mrowisko i jego zdania – zupełnie niepoprawnego politycznie w Polsce – nie należy lekceważyć.

KAT

Gaza Style

Netanjahu ma nowy cel

Podczas gdy oczy całego świata skierowane są na Iran, Izrael powiela schemat Strefy Gazy w Libanie.

Step 1

Siły izraelskie rozpoczęły atak na Liban po tym, jak Hezbollah w odwecie za decyzję o zaatakowaniu Iranu zaczął ostrzeliwać Izrael. Choć wszystkie rakiety zostały przechwycone, atak dał Izraelowi pretekst do odwetu na ogromną skalę. Według danych analitycznych do 15 marca izraelskie siły powietrzne wykonały 300 fal nalotów. Libańczycy znaleźli się między młotem Hezbollahu a kowadłem Netanjahu. Spirala wojennej przemocy nie wydaje się niczym nadzwyczajnym, ale jej skala i izraelskie zapowiedzi już tak.

28 marca na południu Libanu w wyniku izraelskiego ataku zginęło troje libańskich dziennikarzy. Śmierć poniosła korespondentka stacji Al-Mayadeen Fatima Ftouni, jej brat – operator kamery Mohamed Ftouni, oraz korespondent stacji Al-Manar Ali Shoeib. Siły Obronne Izraela oświadczyły, że celem ataku byli terroryści należący do wojskowego skrzydła Hezbollahu, którzy według izraelskiej armii mieli działać pod przykrywką pracy dziennikarskiej. Aby tradycji stało się zadość, na poparcie tych zarzutów nie przedstawiono żadnych dowodów. Prezydent Libanu Joseph Aoun nazwał atak rażącą zbrodnią i podkreślił, że dziennikarze korzystają z międzynarodowej ochrony podczas działań wojennych. „Po raz kolejny izraelska agresja narusza najbardziej podstawowe zasady prawa międzynarodowego" – napisał na X.

Wyżynanie pracowników mediów pod pretekstem walki z zakamuflowanym terroryzmem to kalka działań ze Strefy Gazy, gdzie zamordowano co najmniej 210 palestyńskich dziennikarzy. Izrael dopiero się rozkręca i wiele wskazuje na to, że Liban także padnie ofiarą taktyki spalonej ziemi.

Step 2

Niektórzy politycy, w tym skrajnie prawicowy izraelski minister finansów Becalel Smotricz, otwarcie domagają się, aby Izrael przejął stałą kontrolę nad terenami na południe od rzeki Litani. Naturalnie powołują się przy tym na względy bezpieczeństwa. Z tego samego powodu około miliona Libańczyków – czyli co piąty obywatel tego kraju – dostało polecenie opuszczenia domu. 370 tys. z nich to dzieci. Izraelczycy chcą wysiedlić całe południe Libanu aż po linię rzeki Zahrani.

Aby wzbudzić wśród miejscowej ludności większy entuzjazm do zmiany adresu, IDF używa ładunków z białym fosforem. Zdaniem Human Rights Watch siły izraelskie pod pretekstem zneutralizowania Hezbollahu użyły broni z tą silnie trującą substancją do przepędzania ludzi z terenów mieszkalnych.

Biały fosfor to substancja chemiczna, która zapala się po wystawieniu na działanie tlenu i wydziela dużą ilość żrącego dymu. Dawka śmiertelna dla dorosłego człowieka wynosi ok. 0,1 g. Substancja wżera się w tkanki i wypala je do gnatów. Ze względu na te właściwości stosowanie środka jest ściśle regulowane przez prawo międzynarodowe, w szczególności Protokół III do Konwencji o zakazie lub ograniczeniu użycia pewnych broni konwencjonalnych, który zakazuje jego użycia przeciwko cywilom.

Biały fosfor może odkładać się w glebie i ulegać spontanicznemu zapłonowi. Powtarzające się uderzenia broni z tą substancją nasycają glebę kwasem fosforowym oraz toksycznymi metalami ciężkimi. Dla podbicia efektu Izrael uszkodził co najmniej siedem kluczowych źródeł wody, które zaopatrywały w nią blisko 7 tys. osób. Zniszczeniu uległy także sieci energetyczne.

22 marca minister obrony Izraela Israel Katz obwieścił, że aby uniemożliwić bojownikom Hezbollahu przemieszczanie się na południe, IDF dostały rozkaz zniszczenia wszystkich mostów na Litani, które są wykorzystywane do „działalności terrorystycznej". Przy okazji IDF ma przyspieszyć wyburzanie domów Libańczyków w wioskach na linii frontu, aby zneutralizować zagrożenia dla społeczności izraelskich. Kenneth Roth, były dyrektor wykonawczy Human Rights Watch, przypomniał w wywiadzie dla NBC, że międzynarodowe prawo humanitarne chroni obiekty cywilne, chyba że są wykorzystywane do celów wojskowych. Powiedział też, że nic nie wskazuje na to, że Hezbollach wykorzystuje domy niszczone przez Izrael. Niestety, wszyscy mają to w dupie.

Step 3

Ramzi Kaiss, libański badacz z HRW, wskazał, że prawo międzynarodowe wymaga, aby podmioty uzbrojone brały pod uwagę szkody wyrządzone ludności cywilnej w wyniku ataków na infrastrukturę – mowa np. o mostach, nawet jeśli były wykorzystywane do celów wojskowych. „Jeśli wszystkie te mosty zostaną zniszczone, a region na południe od Litani zostanie odizolowany od reszty kraju, straty wśród ludności cywilnej będą tak ogromne, że dojdzie do katastrofy humanitarnej, gdyż ludzie mieszkający na południu nie będą mieli dostępu do żywności, leków i innych podstawowych potrzeb" – zaznaczył. Dodał, że niszczenie domów na południu Libanu na masową skalę byłoby równoznaczne ze zbrodnią wojenną.

Niestety, niejedyną w ogniu izraelskiej pacyfikacji. Zagraniczna korespondentka Sky News Alex Crawford podczas jednej z relacji z południowego Libanu potwierdziła, że libańscy pracownicy służby zdrowia i ratownicy medyczni są zmuszeni celowo opóźniać przyjazd na miejsca izraelskich ataków. Robią to, by uniknąć tzw. podwójnych uderzeń – taktyki, w której po pierwszym ataku następuje drugi, skierowany na służby ratunkowe. Crawford stwierdziła, że ta praktyka stała się standardem izraelskiej operacji w Libanie. Relacjonowała to przy okazji pogrzebu dwóch ratowników medycznych zabitych w ataku na Nabatieh.

Według libańskiego Ministerstwa Zdrowia Publicznego do końca marca w wyniku izraelskich ataków zginęło ponad 1110 osób, w tym: co najmniej 120 dzieci, 83 kobiet, 42 pracowników służby zdrowia i ratowników. Ponad 3300 osób zostało rannych. Wśród zabitych znaleźli się również pracownicy organizacji humanitarnych i dziennikarze.

Władze Libanu zakazały działalności militarnej Hezbollahu i oświadczyły, że chcą podjąć bezpośrednie rozmowy z Izraelem. Przeszło dwuletnie przyzwolenie międzynarodowej opinii publicznej na gruzowanie Gazy i ludobójstwo jej mieszkańców każe przypuszczać, że będzie to wołanie srającego na puszczy.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 5e32e32b68

To skomplikowane

Słowo o ludobójstwie

Wojny są we wszystkich wiadomościach – Ukraina, Iran, Sudan. Może Wy, podobnie jak ja, zauważyliście już, że nie jesteście w stanie adekwatnie reagować na medialne doniesienia o kolejnych wybuchach i okropnościach wojny. Ale potem trafiam na zdjęcie z drona. Wstrząsające: kompletnie zrujnowana przestrzeń miasta, hektary gruzowiska, jakby ktoś przejechał po tym miejscu wielką gumką do wymazywania. W podpisie czytam, że to Gaza.

Dostałam tym w twarz. Googluję dalej: „Gaza". Czytam, że po wielu miesiącach wojny i okupacji ludziom w Gazie nadal grozi śmierć – tym razem głównie z głodu i chorób. Izrael nadal ogranicza możliwość dostarczania żywności do Strefy Gazy, a Sąd Najwyższy właśnie ogłosił, że zamierza zakazać działania 37 organizacjom niosącym pomoc humanitarną mieszkańcom. Na terenie Gazy działają takie organizacje jak Oxfam, Lekarze bez Granic, Save the Children. Czy będą musiały przerwać pracę w Strefie Gazy, narażając tysiące ludzi na śmierć? Głośne medialnie wojny zagłuszają krzyk rozpaczy ludzi w Gazie. Postanawiam o tym napisać.

Ciepły głos z radia

Ale słucham radia. Docierają do mnie, ciepłym głosem wypowiadane, słowa „eksperta": „sytuacja jest złożona", „Polska apeluje o deeskalację", „trzeba rozmawiać". Dociera do mnie, że on też mówi o Gazie. A potem reklamy: czegoś na raty, wielka wyprzedaż. I ja wiem, Wy też wiecie, wszyscy wiemy, że to teatrzyk – tylko udajemy, że nie widzimy, jak bardzo ten teatrzyk ustawiono pod wygodę polityków i ugrzecznionych stronniczą polityką mediów, którym wojna mieści się w dwóch zdaniach. To mnie solidnie wkurzyło.

Zapytam: co czujesz Ty, gdy słyszysz te same słowa z radia, z telewizora, czytasz je w „szacownym dzienniku", wyrosłym onegdaj z ducha protestu? Co czujesz, gdy relatywizuje się fakty, sprowadzając je do obowiązującej linii politycznej? Słyszysz „to złożone", a wiesz, że znaczy: „mamy to gdzieś". Słyszysz „apelujemy", a rozumiesz: „nic nie zrobimy". Czytasz „deeskalacja", a to znaczy: „nie przeszkadzajcie w eskalacji". I właśnie tak wygląda różnica między medialną pogodą ducha a faktami o Gazie – jest jak różnica między kojącą muzyczką w twoim samochodzie a krzykiem, który w ogóle do ciebie nie dociera.

A fakty? Walą prosto w twarz. Radio, gazeta, politycy chronią cię przed takim szokiem. Ale nie miej złudzeń: nie w trosce o Twoje bezpieczeństwo, tylko w trosce o własny interes. O spokój. O własne pieniądze. O własne „nie komplikujmy".

We wrześniu 2025 r. Niezależna Międzynarodowa Komisja Śledcza ONZ, ta od terytoriów okupowanych, ogłosiła wprost: Izrael popełnia ludobójstwo wobec Palestyńczyków w Strefie Gazy. Nie stwierdza, że „być może". Nie pisze „w ocenie części ekspertów". Tylko: *committed genocide* – dopuścił się ludobójstwa.

To słowo – ludobójstwo – nasi szlachetni politycy wyciągają w Polsce jak rodzinny srebrny serwis: ostrożnie, w białych rękawiczkach, najlepiej tylko w rocznice. A tymczasem ONZ-owska komisja pisze o konkretach: zabijaniu, zadawaniu poważnych cierpień, stwarzaniu warunków życia prowadzących do wyniszczenia. I o tym, co najważniejsze, bo to jest rdzeń, nie ozdoba: o zamiarze, który da się wyczytać z działań i wypowiedzi izraelskich władz.

Partyzantka dobra i zła

I zanim ktoś krzyknie: „A Hamas?!", odpowiem: tak, Hamas.

7 października 2023 r. doszło do ataku Hamasu na Izrael – masakry i porwań. To był początek tej fazy wojny, zapalnik, który włącza w głowach polityków automat do banalnych przemówień. Tyle że to nie meteor, który znienacka uderzył w region. To konsekwencja realnej, wieloletniej okupacji, polityki eksterminacji i systemu przemocy. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w opinii doradczej z 19 lipca 2024 r. uznał, że obecność Izraela na okupowanych terytoriach palestyńskich jest nielegalna i że Izrael ma obowiązek ją zakończyć oraz zaprzestać działań podtrzymujących ten stan. Czyli: zakończyć okupację.

Kiedy Polska była pod hitlerowską okupacją, ludzi wysadzających tory i napadających na posterunki czciliśmy i czcimy do dziś jako partyzantów – bo opór przeciw okupantowi uznaliśmy za konieczny i moralnie zrozumiały.

Gaza od dekad żyje w klatce, a Zachód, ten „demokratyczny", wyciąga pieczątkę „TERRORYZM" i przybija ją Palestyńczykom z Hamasu na czole. Jasne: mordowanie cywilów jest zbrodnią zawsze. Tyle że gdy robi to państwo sojusznik, nazywa się to „prawem do obrony".



Rys. OBYWATEL JANEK

Gdy rodzi się po stronie okupowanych – „terroryzmem". I zamykamy temat.

Jeśli ktoś latami dociska komuś gardło butem, to niech się potem nie dziwi, że pojawiają się desperacja, przemoc i potworność. I niech nie udaje, że ludzki opór „nie ma z tym związku". Związek jest. Tylko wygodniej udawać, że historia zaczyna się wtedy, kiedy pasuje do oficjalnej linii politycznej.

Fabryka madowych zabójstw

A teraz przyjrzyjmy się, jak robi się ludobójstwo. Izraelscy dziennikarze śledczy z +972 Magazine, niezależnego magazynu internetowego, tworzonego przez zespół izraelskich i palestyńskich dziennikarzy, opisali mechanikę bombardowań jako „fabrykę masowych zabójstw": skalę uderzeń, „luźne progi akceptowalnych ofiar cywilnych" i użycie systemów opartych na sztucznej inteligencji do generowania celów. To nie jest obraz „wojennego błędu". To obraz przemyślanej decyzji. I wiecie, co jest w tym najbardziej upiorne? Ta wojskowa, a jednak korporacyjna estetyka. Jak w open space: targety, optymalizacja, wydajność procesu. Tylko że tu „proces" kończy się w mieszkaniu, w którym ktoś właśnie próbuje zasłonić dziecko własnym ciałem albo nie ma go czym nakarmić. Ludobójstwo to także polityka eksterminacji. Eksterminacji przez uniemożliwienie połowu ryb, niszczenie upraw – eksterminacji głodem.

No i wchodzi ona cała w blasku gwiazd na niebieskim tle i w biało-czerwone paski: Ameryka, sponsor moralności, dystrybutor demokracji, hurtownia sumienia. Oburza mnie polityka USA wspierająca Izrael, bo to nie jest wsparcie dla bezpieczeństwa, tylko parasol – wojskowy i dyplomatyczny – rozpięty nad totalną katastrofą. W samym wymiarze wojskowym: według analiz projektu Costs of War z Brown University, cytowanych przez Associated Press, USA przekazały co najmniej 21,7 mld dol. pomocy wojskowej od początku wojny.

A w dyplomacji? W Radzie Bezpieczeństwa ONZ za rezolucją wzywającą do natychmiastowego i trwałego zawieszenia broni 14 państw głosowało „za", a jedno powiedziało „nie", stawiając weto – USA.

Na poziomie języka, tego miękkiego narzędzia do robienia twardych rzeczy, też jest jasne: amerykańska dyplomacja i sojusznicy powtarzali formułę o „braku równoważności" między „terrorystycznym Hamasem" a państwem Izrael. Okej. Tylko że „brak równoważności" w praktyce stał się brakiem hamulców.

Polska, dobry sojusznik

I teraz wróćmy do Polski. Nasza dyplomacja uważa za słuszne występować w roli „sojusznika" za wszelką cenę: z jednej strony deklaracje o prawie międzynarodowym, współczucie, czasem gesty humanitarne. Z drugiej – *business as usual*, bo przecież „po co psuć relacje".

W raporcie specjalnej sprawozdawczyni ONZ Franceski Albanese „Gaza Genocide: a collective crime", opublikowanym jako dokument ONZ w październiku 2025 r., nazwa „Polska" pada wprost w kontekście państw współtworzących warunki, w których ta wojna może trwać. Pojawiamy się jako kraj uczestniczący w łańcuchu dostaw komponentów do programu F-35, części i podzespołów do systemu kluczowego dla zdolności uderzeniowych, jako uczestnik ćwiczeń INIOCHOS 2025, gdzie obok sił izraelskich ćwiczyli także polscy żołnierze, oraz jako państwo, które w czasie trwania wojny zwiększyło wymianę handlową z Izraelem o – zdaniem raportu – 237 mln dol.

I tu hipokryzja staje się jawna. Czarna groteska. A ja mam alergię na to, jak łatwo politycy mówią o „ochronie" i „bezpieczeństwie", kiedy tak naprawdę chodzi o kontrolę, dominację, selekcję ludzi. W Gazie ta selekcja jest brutalnie widoczna. U nas – elegancko zamaskowana. Tu robi się PR. Tam robi się realną politykę. Tam powstają masowe groby. Tu – dym.

Czy to jest „skomplikowane"? Skomplikowane bywa tylko usprawiedliwienie dla tych, którzy chcą spać spokojnie, kiedy gdzie indziej ktoś umiera z głodu pod gruzem i w ciszy.

ANNA GRODZKA

Gorsi i lepsi zbrodniarze

Hipokryzja polskiej polityki zagranicznej

Histeria antypisu wokół spotkania Karola Nawrockiego z węgierskim premierem Viktorem Orbánem jeszcze raz potwierdza, że antyrosyjska zaćma jest cechą charakterystyczną polskiej rządzącej elity.

Zbrodniarz, ale nasz

Przecież idąc tym tokiem rozumowania, należałoby zerwać kontakty z tymi światowymi politykami, którzy spotykają się z Donaldem Trumpem. On też jest zbrodniarzem i – biorąc pod uwagę rozmiar zniszczeń Iranu – wcale nie na mniejszą skalę niż Putin.

Ponadto Trump doprowadził do zamordowania irańskiego przywódcy i porwał prezydenta Wenezueli – w odróżnieniu od swojego rosyjskiego odpowiednika, który nie porwał ani nie zabił prezydenta Ukrainy, choć uznaje go za uzurpatora sprawującego władzę po upływie konstytucyjnej kadencji (i z czysto formalnego punktu widzenia ma rację). Trump usprawiedliwił swoją bandycką akcję stwierdzeniem, że prezydent Nicolás Maduro nie jest prawowitym władcą Wenezueli, albowiem – jego zdaniem – nie miał prawa wygrać wyborów z kandydatem opozycji, mało znanym byłym dyplomatą Edmundem Gonzálezem Urrutią.

Orbán utrzymuje kontakty również z innymi zbrodniarzami – Trumpem i Netanjahu – ale to w Polsce nikomu nie przeszkadza. Wszak Trump jest naszym zbrodniarzem – podobnie jak latynoamerykańscy dyktatorzy byli dla amerykańskich prezydentów „ich skurwysynami".

To polski prezydent rządzi w Budapeszcie

Strategia w przepychance KO–PiS sprowadza się do tego, aby przy byle okazji przywalić rywalowi, i to z możliwie jak największym hukiem. To znakomity sposób na dowartościowanie przeciwnika – co było szczególnie widoczne w przypadku wizyty Nawrockiego na Węgrzech. Zamiast ją zlekceważyć i potraktować jak mało znaczący epizod, wydarzenie nagłośniono do niemal monstrualnych rozmiarów. Słyszeliśmy, że Nawrocki, spotykając się z Orbánem, poparł go w zbliżających się wyborach parlamentarnych. W ten sposób, w oczach licznych polityków, Karol Nawrocki urósł do rangi wpływowej osobistości na skalę europejską. Tymczasem prof. Bogdan Góralczyk – znający Węgry lepiej niż cała plejada przemądrzałych komentatorów – zauważa, że dla Węgrów istotniejsze jest to, co włożyć do garnka, niż to, kto z zagranicy kogo popiera. Podobną opinię wypowiada prof. Rafał Chwedoruk: wizyta Nawrockiego u Orbána nie zrobi wrażenia na węgierskich wyborcach, za to dyskusja na ten temat służy Nawrockiemu, dowartościowując jego pozycję i znaczenie w Polsce.

Premier Donald Tusk surowo napominał prezydenta, że „ma on obowiązki polskie, a nie rosyjskie". Jest to, jak mawia prezes, oczywista oczywistość – jednak jak to się ma do węgierskiej wizyty? Czy Nawrocki udał się do Budapesztu jako emisariusz Putina, którego sam nazywa zbrodniarzem? Z kolei minister w randze wicepremiera Radosław Sikorski oświadczył, że wizyta ta zaszkodziła polskiej polityce zagranicznej. W jaki sposób – tego nie wyjaśnił.

Bezwarunkowe poparcie dla Ukrainy i życzenie, aby pokonała Rosję na placu boju, jest niezmienną dyrektywą polskiej polityki zagranicznej. Nikt nie wspomina o możliwości pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu. Jest to poniekąd zrozumiałe – wszak nie po to rząd zbroi się na potęgę, utrwalając w nas poczucie nieuchronnego rosyjskiego zagrożenia, aby jakiś stabilizujący układ pokojowy mógł to wszystko zepsuć.



Rys. MARCIN CHUDZIK

W komentarzach dotyczących wizyty Nawrockiego u Orbána pojawia się teza, iż decyzja węgierskiego premiera o wstrzymaniu dostaw gazu na Ukrainę nieprzypadkowo zbiegła się w czasie z wizytą polskiego prezydenta – tak, jakby to Polska dyktowała węgierskiemu rządowi jego politykę zagraniczną. Prawda jest taka, że Orbán podjął tę decyzję w reakcji na wstrzymanie przez władze w Kijowie przesyłu ropy naftowej rurociągiem Przyjaźń – i z tego samego powodu zablokował 90 mld euro unijnego programu wsparcia finansowego dla Ukrainy. Zapowiedział, że nie odblokuje, dopóki Ukraina nie wznowi dostaw ropy. Strona ukraińska odpowiada, że rurociąg nie działa, ponieważ został uszkodzony w wyniku rosyjskich ataków. Faktyczne przyczyny awarii można łatwo ustalić – gdyby zajęli się tym specjaliści. Tymczasem, jak doniósł 28 marca ukraiński portal Jewropejska Prawda, grupa europejskich techników, obecna w Kijowie i gotowa zbadać rzeczywiste przyczyny katastrofy, nie została na jej miejsce dopuszczona przez ukraińskie władze.

Onuca Orbán

W Polsce panuje jednostronna narracja w kwestii stosunku Viktora Orbána do Rosji. Określany jest on mianem najbardziej prorosyjskiego przywódcy wśród państw europejskich (jak gdyby Białoruś nagle przemieściła się na jakiś inny kontynent). Ta diagnoza nie uwzględnia przyczyn, a jedynie skutki.

Tymczasem polityka Orbána nie wynika z tego, że kocha on Putina, a Zełenskiego nie. Węgierski premier kalkuluje, że bardziej od sporów z Kremlem opłaca mu się stabilność dostaw surowców energetycznych.

W telewizyjnej Loży Prasowej dziennikarka „Newsweeka" powiedziała, że Orbán nie potępił rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Nieprawda. W październiku 2022 r. Orbán wyraźnie oświadczył, że Rosja dokonała agresji i złamała prawo międzynarodowe. Powtórzył to w kwietniu 2023 r., mówiąc, iż powodem rozpoczęcia wojny było to, że Rosjanie zaatakowali Ukrainę. Równocześnie węgierski premier od samego początku konfliktu wzywał do zawieszenia broni i rozpoczęcia negocjacji pokojowych – zanim do tych wniosków doszedł Donald Trump.

Warto przy okazji wspomnieć, że – w odróżnieniu od Rosji – Orbán nie potępił ani amerykańskich, ani izraelskich agresywnych poczynań na Bliskim Wschodzie. Tego jednak nasi rodzimi komentatorzy mu nie wytykają, gdyż nie dotyczy to Rosji, a potężnego sojusznika i zblatowanego z nim syjonistycznego reżimu.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 5e32e32b68

Grzebanie w śmieciach

Sztuczna inteligencja morduje kulturę

Jeszcze rok temu śmiano się z pokracznych prób odtwórstwa obrazów przez generatywną sztuczną inteligencję. Twory AI można było łatwo poznać po licznych, nieraz zabawnych szczegółach: postaciach o ponadprogramowych palcach i kończynach, bezsensownych bohomazach udających tekst. Ta epoka jednak szybko minęła i obecnie generuje się materiały niemal nieodróżnialne od tych stworzonych przez człowieka.

Nie uciekniemy przed AI

Skala, na jaką produkowane są obecnie treści, przyprawia o gęsią skórkę. Generuje się już nie tylko obrazki i tekst, ale także muzykę, podcasty, filmy czy całe scenariusze do nich. AI tworzy też kody, a nawet całe programy. Umie udawać ludzkie profile na mediach społecznościowych, a także służyć za terapeutę, coacha czy – ostatnio – partnera. I to bynajmniej nie biznesowego. Absolutnie każdy rodzaj treści, jaki napotykamy internecie – a coraz częściej też w świecie realnym – może potencjalnie być wypluty przez jakiś model generatywny.

Taki stan rzeczy powoduje liczne problemy. Przywykliśmy już, że wyszukiwanie obrazów i zdjęć w internecie stało się mordęgą przebijania przez stosy wygenerowanego śmiecia. Pewną nowością jednak jest AI muzyka – przy czym największym ewenementem jest niekoniecznie ta zakamuflowana jako „ludzka", a właśnie utwory wprost reklamowane jako dzieła AI. Za oceanem karierę robi Telisha „Nikki" Jones i jej wygenerowany awatar Xania Monet. Ich utwór „How Was I Supposed to Know?" wszedł na wysokie miejsca w tamtejszych rankingach muzycznych, a sama autorka podpisała deal z wytwórnią muzyczną na 3 mln dol. A jako że Polacy nie gęsi, to i u nas w rynek muzyczny AI wjechało jak czołg. W grudniu poprzedniego roku furorę robiła wytwórnia o nazwie Kutas Records tworząca prześmiewcze piosenki o gejowskim seksie. Wówczas na platformie Spotify zajęły one osiem miejsc w top 15 słuchanych utworów.

Pojawienie się tworów AI w kulturze to problem nie tylko ich obecności – ale przede wszystkim ilości, o której decyduje szybkość i łatwość w generowaniu tego typu treści. Wspomniany Kutas Records po dwóch latach istnienia ma na YouTubie aż 102 utwory. I jest to nic przy np. kanale Polskie Brzmienie, który nastukał w ciągu roku 240 piosenki (i w sumie niemal 62 mln wyświetleń). Podobnych kont w samym tylko polskim necie są dziesiątki, i to nie bez powodu. Taki kanał stworzyć może w pojedynkę ktoś bez większej wiedzy informatycznej oraz muzycznej, wykorzystując gotowe narzędzia – takie jak Suno czy Runaway – do generowania wszystkiego, od muzyki po teledyski. W zamian zaś można kasować łatwe pieniądze z wyświetleń.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Zalew śmieciowych treści tego typu sprawia, że potrafią one skutecznie przykryć utwory tworzone przez rzeczywistych artystów. W konsekwencji odbiorcom trudniej jest odnaleźć wartościową sztukę, a twórcom – odbiorców.

Zaburza to więc naturalny proces tworzenia się kultury i sprawia że kolejny element naszego życia zostaje zagarnięty i zepsuty przez niewidzialną rękę rynku.

Totalna kontrola big techu

Wątkiem, którego nie można pominąć, jest oczywiście dostawca tych wszystkich wynalazków – czyli big tech. Nie jest sekretem, że znaczna większość popularnych tekstów kultury tworzona jest od dawna w celach stricte komercyjnych. Wprowadzenie do równania maszynek do generowania treści nie tylko pozwala na ich sprzedaż zainteresowanym twórcom, lecz potencjalnie może spowodować też swego rodzaju wyścig zbrojeń na to, kto będzie wypuszczał najwięcej treści w najkrótszym czasie. Czyje wygenerowane piosenki zostaną wyświetlone użytkownikom przez algorytm, czyj napisany przez maszynę artykuł zostanie przeczytany, itd. W takiej sytuacji każdy, kto chce sprzedawać swoje treści i generować wyświetlenia, będzie musiał zaopatrzyć się w narzędzia sztucznej inteligencji.

Może doprowadzić to do uzależnienia znacznej części podmiotów medialnych i kulturalnych od koncernów technologicznych. Te w takiej sytuacji mogą zacząć dyktować surowsze warunki użytkownikom swoich produktów. Otwiera to też pole do nadużyć ze strony rządów, którym owe koncerny podlegają. Na dokładnie tej zasadzie amerykańskie portale społecznościowe zaczęły np. cenzurować materiały krytykujące Izrael lub nagłaśniające jego zbrodnie w Palestynie. Nic nie stoi więc na przeszkodzie, aby modele generatywnej sztucznej inteligencji dostały twardą blokadę na niewygodne treści, lub żeby ich dostawcy odmówili świadczenia usług niepokornym podmiotom.

PIOTR STARCZEWSKI



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Stowarzyszenie na rzecz męskich ciot

Czy baba to wróg?

W Polsce co jakiś czas odradza się szczególny gatunek publicystyki i aktywizmu: mężczyzna, któremu wmówiono, że jest ofiarą systemu, bo nie wszystko w państwie kręci się wyłącznie wokół jego nosa. Dawniej taki typ siedziałby w fotelu, popijał herbatę i marudził, że baby mają za dobrze. Dziś zakłada stowarzyszenie, stronę internetową, kongres i mówi o „dyskryminacji mężczyzn" językiem prezentacji z HR-u. Oto nowoczesność: dawny foch patriarchatu podany w sosie NGO.

Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn przedstawia się jako poważna inicjatywa równościowa. W praktyce jest to w dużej mierze przedsięwzięcie dla panów obrażonych na świat, że nie klaszcze im już automatycznie za sam fakt posiadania chromosomu Y. Ich sztandarowe hasła brzmią z pozoru niewinnie: zdrowie mężczyzn, edukacja chłopców, prawa ojców, obowiązki obronne, emerytury. Wszystko to można by nawet uznać za sensowny punkt wyjścia, gdyby nie charakterystyczny chwyt tej formacji: realne problemy miesza się tam z pretensjonalnym koncertem krzywd męskiej duszy.

Nie ma tu żadnej tajemnicy. „Wojna płci" jest w dużej mierze politycznym produktem, a nie nieuniknionym losem społeczeństwa. Ten cały tożsamościowy teatr służy głównie temu, żeby ludzie siedzący w jednym gównie szukali winy nie tam, gdzie trzeba. Kobieta ma mieć pretensję do faceta, facet do kobiety, a

oboje najlepiej niech nie patrzą ani na pensje, ani na czynsze, ani na to, kto naprawdę korzysta na ich wzajemnym wkurwieniu. Im więcej tej jałowej wojny o symboliczną krzywdę, tym mniej rozmowy o klasach, pracy i zwykłym codziennym wyzysku.

Bo przecież tak, mężczyźni częściej umierają wcześniej, częściej giną w pracy, rzadziej chodzą do lekarza. To są sprawy warte rozmowy. Tyle że zamiast iść w stronę krytyki kultury zapierdolu, rynku pracy, klasowego wyciskania ludzi jak cytryn i modelu męskości, który robi z faceta jednocześnie mięso armatnie i mięso na magazyn, nasi obrońcy chłopców wolą często skręcać w znajomą uliczkę: „a kobiety mają lepiej". I wtedy robi się swojsko…

Najlepiej widać to na przykładzie wieku emerytalnego. Stowarzyszenie od dawna domaga się „równości emerytalnej", twierdząc, że obecna różnica jest niesprawiedliwa. Brzmi to elegancko, tylko że diabeł, jak zwykle, siedzi w szczególe. A raczej w pytaniu, którego ci panowie wyjątkowo nie lubią zadawać wprost: do jakiego wieku? Bo „zrównanie" może oznaczać dwie rzeczy. Albo obniżenie wieku mężczyznom. Albo podwyższenie go kobietom. I jeśli ktoś unika jasnej odpowiedzi, to zwykle dlatego, że woli sprzedać ludziom eleganckie słowo zamiast brutalnego konkretu.

Mało tego, w tym katalogu męskich krzywd pojawia się także postulat „równości" w obowiązku obronnym. Innymi słowy: zamiast walczyć o to, żeby państwo przestało traktować biedniejszych facetów jak rezerwuar ciał do okopu, nasi obrońcy chłopców upominają się o równość w ginięciu

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Krakowie kobieta zgłosiła się na policję po tym, jak w pokoju swojego 16-letniego syna znalazła susz roślinny, który – jak się okazało – był marihuaną. Funkcjonariusze weszli do mieszkania i zabezpieczyli ponad 50 gramów narkotyku oraz gotówkę. Nastolatek trafił do policyjnej izby dziecka. W trakcie przesłuchania przyznał się też do dilerki. Usłyszał ciężkie zarzuty. Grozi mu poprawczak – w praktyce więzienie dla nieletnich. Matka wydała syna! Czyli jak zapisano w Pismach: „Brat wyda brata na śmierć, a ojciec syna; powstaną dzieci przeciw rodzicom…" (Mt 10, 21–22). No i się sprawdza.

▮ W Nowym Sączu ktoś dokonał niemożliwego: wygrał 3,5 mln zł w Eurojackpot i po prostu po nie… nie przyszedł. Pół roku minęło, kupon pewnie zgnił w kieszeni portek, a fortuna wróciła do państwowego skarbca. Totalizator Sportowy zaciera ręce. Przechlapać trzy i pół bańki, nie wydając ani grosza na wódkę, dziwki czy choćby porządną kolację! Ten człowiek osiągnął stan nirwany: ma wszystko, bo nic nie odebrał.

▮ Mimo kalendarzowej wiosny w Zakopanem faktyczna zima. Spadł śnieg. Górale wieszczą: „poleży do świąt" – choć tym razem nie chodzi o te z choinką i Mikołajem. Zdecydowanie odradzamy wizytę w tym rejonie. Usłyszycie tylko dźwięk kasy fiskalnej, która góralom nigdy nie zamarza.

▮ Jak donoszą z Krakowa, na Rynku Głównym ruszył jarmark wielkanocny. Największą atrakcją są ceny: mięso z dodatkiem adrenaliny, czyli szaszłyk – 85 zł, kiełbasa w bułce – 50 zł (bułka gratis), ziemniak po transformacji ustrojowej, czyli frytki – 20 zł, ogórek kiszony – 5 zł (warzywo, które osiągnęło sukces finansowy). Jarmark potrwa do 6 kwietnia. Organizatorzy zapewniają „świąteczną atmosferę". Płaćcie i płaczcie, baranki boże.

▮ Na warszawskim Ursynowie kapitalizm osiągnął stadium wyższe, niż przewidział Marks: opodatkowano spacer. Chcesz wejść do parku w dawnym Forcie VIII? Płać 280 zł rocznie. Bramki, karty magnetyczne, pełna kontrola. Brakuje tylko wieżyczek strażniczych z karabinami maszynowymi, żeby kosić gapowiczów, którzy chcieliby powąchać bez za darmo. Jeśli to chwyci, następnym krokiem będą parkomaty przy każdej ławce i opłata klimatyczna za głębsze westchnienie nad losem ojczyzny.

▮ Na krakowskich Grzegórzkach 25-letni performer przez półtora miesiąca tworzył unikalną instalację przestrzenną, ryjąc w lakierze samochodowym kilkudziesięciu przypadkowo zaparkowanych pojazdów ekspresję wartą 90 tys. zł. Policja, ci wieczni wrogowie awangardy, po prostu go przymknęła. Chłopakowi grozi pięć lat więzienia za uszkodzenie mienia, choć w każdym kulturalnym kraju jego kreska zostałaby uznana za manifest przeciwko konsumpcjonizmowi i dominacji blachy nad duchem.

▮ Przy ul. Kossobuckiego w Płocku 103-letnia staruszka postanowiła sprawdzić prawa grawitacji, spadając z ósmego piętra. Śledczy drapią się w głowy, szukając „osób trzecich", ale my wiemy swoje: jeśli ktoś tu stracił cierpliwość, to najpewniej Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Sto trzy lata! Toż to biologiczna bezczelność.

▮ Sąd w Opolu uznał, że Wojciech G., były już stróż prawa i cudzych zębów, bił ludzi w sposób wysoce nieprofesjonalny. Dwie interwencje policji z 2023 r. zakończyły się wpierdolem. Jeden z poszkodowanych popełnił błąd życiowy: sam wezwał policję na ratunek. Zamiast pomocy dostał bilet na oddział ratunkowy. Wyrok? Osiem miesięcy w zawieszeniu na dwa lata.

▮ Trzech warszawskich notariuszy, filarów zaufania publicznego, zamieniło swoje kancelarie w przechowalnie szmalu dla bankrutów. CBA twierdzi, że ukryli przed wierzycielami 48 mln zł, a w całej aferze wiruje ćwierć miliarda. To się nazywa „bezpieczeństwo obrotu prawnego" w polskim wydaniu. Zamiast pilnować prawa pilnowali, żeby wierzyciele nie dostali ani grosza z tonących firm. Na razie dostali zakaz wyjazdu z kraju. Co za straszliwa kara! Będą musieli wydawać te miliony w polskich kurortach, wspierając lokalną gastronomię.

▮ Śląski wydział Prokuratury Krajowej prowadzi śledztwo dotyczące zmuszania do pracy cudzoziemców jako kierowców autobusów. Jak ustalono, pracownicy – głównie z Azerbejdżanu, Gruzji, Indii, Ukrainy i Białorusi – mieli harować nawet 450 godzin miesięcznie. Kierowcom od-



Rys. WIDGET

eprasa.pl 5e32e32b68

na wojnie. To już jest naprawdę osobliwa odmiana emancypacji: zamiast zlikwidować niesprawiedliwość, rozszerzyć ją na wszystkich. Jakby ktoś zobaczył, że koledze obcina się palec i zamiast krzyczeć „przestańcie!", wystąpił z programem obcinania palców po równo kobietom i mężczyznom.

Tu właśnie do akcji wkroczyła partia Razem, która na Dzień Mężczyzn wrzuciła grafikę z życzeniami „równości emerytalnej" i zapewnieniem, że kobiety i mężczyźni powinni pracować do tego samego wieku. Niby drobiazg z mediów społecznościowych, ale polityka często właśnie tak wygląda: najpierw sympatyczna grafika, potem sympatyczny slogan, a na końcu okazuje się, że sympatycznie wydłużono życie zawodowe kasjerce, sprzątaczce i pracownicy produkcji o dodatkowe pięć lat. Bo kiedy ktoś mówi „równość", a nie mówi „60 dla wszystkich", to w polskich warunkach istnieje bardzo realne podejrzenie, że chodzi o najprostszą operację budżetową: kobieto, zapierdalaj dłużej.

I właśnie tu widać rzecz najbardziej ponurą: prawicowy backlash nie zatrzymał się na prawicy. Jak każdy skuteczny odruch reakcyjny, zaczął produkować swoje odpryski także na lewicy. W wersji light, bardziej instagramowej, bardziej „wrażliwej na problemy mężczyzn", ale politycznie prowadzącej dokładnie tam, dokąd zwykle: do rozmywania konfliktów klasowych, do rozstawiania kobiet i mężczyzn naprzeciw siebie i do sprzedawania konserwatywnej treści w opakowaniu postępu. Zamiast powiedzieć kasjerce i magazynierowi: wasz wspólny problem to wyzysk, mówi się im: pokłóćcie się jeszcze o to, kto dłużej popracuje i kto bardziej zasłużył na państwową troskę.

Oczywiście głosiciele męskiej krzywdy powiedzą, że to nieuczciwe, bo oni tylko chcą równości wobec prawa. Ale prawo nie działa w próżni. „Równość" między kobietą po 40 latach harówki w handlu, sprzątaniu, usługach albo opiece a urzędnikiem, publicystą czy ekspertem od męskiego cierpienia z laptopem i podcastem jest często tak samo prawdziwa jak „równość" między lokatorem a kamienicznikiem. Na papierze obaj są stronami umowy.

I tu dochodzimy do sedna. Najbardziej żałosne w całym tym przedsięwzięciu nie jest nawet to, że ktoś chce gadać o mężczyznach. Gadać można o wszystkim. Najbardziej żałosne jest to, że spora część tej męskiej polityki nie proponuje mężczyznom żadnego wyzwolenia, tylko nową wersję starej ciotowatości: skomlenie do państwa, by potwierdziło, że chłopiec jest najważniejszy, najbardziej skrzywdzony i koniecznie wymaga osobnej laurki. Taki macho na miękko. Twardy w pozie, miękki w środku, rozklejony, gdy świat nie wręcza medalu za samo istnienie.

Mężczyźni mają dziś realne problemy. Ale nie rozwiąże ich środowisko, które z jednej strony chce uchodzić za twardych realistów, a z drugiej – zachowuje się jak związek zawodowy urażonego ego. Jeśli ktoś naprawdę chce walczyć o chłopców i mężczyzn, niech walczy o krótszy czas pracy, lepszą ochronę zdrowia, bezpieczne warunki zatrudnienia, dostęp do psychiatrii, mieszkania, stabilność i mniej kultu zapierdolu. Niech walczy o to, żeby i kobieta z mopem, i facet z łopatą, i chłopak z technikum nie byli przerabiani przez system na zużywalne części.

Bo jeśli „polityka dla mężczyzn" ma się sprowadzać do tego, że kobiety też trzeba będzie dłużej męczyć robotą, a do tego jeszcze demokratyczniej rozdzielać obowiązek ginięcia za ojczyznę, banki i ambicje polityków – to nie jest żadna emancypacja. To jest zwykłe donoszenie na cudzą ulgę. I dlatego najbardziej adekwatna nazwa dla tej całej pozy smutnych obrońców męskości brzmi w tytule.

DAMIAN DUSZCZENKO

Macice idą po Żurka

O własności kaszojadów

Wojna płci w Polsce wchodzi w decydującą fazę. Ministerstwo Sprawiedliwości chce uregulować prawnie kwestie opieki współdzielonej nad dzieckiem. Środowiska feministyczne dostały wkurwu.



Rys. WIDGET

Wiatr zmian

Projekt ustawy przygotowany przez resort ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka jest pierwszą częścią szerszego „pakietu rodzicielskiego" i ma na celu kompleksową reformę prawa rodzinnego. W jego skład ostatecznie mają wejść trzy ustawy. Pierwsza wprowadza pieczę współdzieloną jako domyślny modelu opieki po rozstaniu rodziców. Druga – realne i szybkie konsekwencje dla rodzica uporczywie utrudniającego byłemu/byłej orzeczone przez sąd kontakty z dzieckiem. Trzecia – ma usprawnić wykonywanie orzeczeń w sprawach rodzinnych. Pierwszy element pakietu został wpisany do wykazu prac legislacyjnych w grudniu 2025 r. W marcu br. został skierowany do opiniowania. Dwa kolejne są w przygotowaniu. Temat dopiero nabiera kształtów, ale wiadomo, że łatwo nie będzie.

„Już 2,5 mln dzieci w Polsce wychowuje się po rozstaniu rodziców, z czego milion nie dostaje alimentów. Jedyna odpowiedź państwa to propozycja opieki naprzemiennej i likwidacji alimentów. Fajnie, nie?" – ogłosiła posłanka Lewicy Anita Kucharska-Dziedzic w swoich social mediach, akurat w Dniu Kobiet. I dodała z gorzką ironią: „Sądy rodzinne przemocą domową się nie zajmują, bo nie! Ale chętnie by komisja kodyfikacji prawa rodzinnego wsadzała kobiety chroniące siebie i dzieci przed przemocowymi ojcami na 2 lata więzienia za lekceważenie postanowień o przekazaniu dzieci przemocowym rodzicom przez sądy rodzinne, które przemocy nie badają". W ślad za nią jak na hejnał poszły organizacje kobiece.

Zwykło się mówić, że prawda leży pośrodku. Kłopot polega na tym, że wojenny paradygmat części matek i ich liderek zepchnął tę prawdę pod samo gęste.

Żurkowy koncept opiera się na założeniu, że piecza współdzielona ma być punktem wyjścia po rozwodzie, separacji lub rozstaniu rodziców. Projekt ma odejść od dotychczasowego modelu, w którym niejako z automatu władza rodzicielska powierzana jest jednemu rodzicowi – w 90 proc. matce – a drugiemu ograniczana. Teraz z tegoż automatu pełna władza rodzicielska ma przysługiwać obojgu rodzicom, którym sąd powierzy sprawowanie opieki nad wymieszanym DNA naprzemiennie – w powtarzających się, choć niekonieczne tak samo długich okresach. Nadrzędną zasadą zawsze ma być dobro dziecka. Sąd weźmie pod uwagę jego wiek i stan zdrowia, zdolność rodziców do współpracy i komunikacji, ich sytuację osobistą, odległość między ich domami, dotychczasowy podział obowiązków rodzicielskich – i opinię samego kaszojada. Sąd nadal będzie mógł powierzyć pieczę jednemu z rodziców, a drugiemu ograniczyć ją do określonych obowiązków i uprawnień – jeżeli przemawia za tym dobro dziecka.

Takie rozwiązanie ma „zmniejszyć negatywne skutki wygaśnięcia uczuć" między tatusiem i mamusią, zapewnić bachorowi ciągłość relacji z obydwojgiem i generalną stabilność emocjonalną.

Jest to propozycja wyjścia naprzeciw problemowi braku równości rodzicielskiej przy podziale opieki nad purchlakiem. Nie przesądza z góry finału igrzysk między rodzicami. Mimo to jedyne, co przychodzi na myśl, jeśli wczytać się w opinie środowisk kobiecych na temat tych pomysłów, to hasło „zabijcie wszystkich, Bóg pozna swoich". Ale po kolei.

Byki i haki

Głównym zarzutem wobec projektu jest brak szczegółowych filtrów bezpieczeństwa, bez których w realiach polskiego wymiaru sprawiedliwości domyślna opieka naprzemienna może stwarzać niebezpieczeństwo dla ofiar przemocy domowej. Jedna ze zmian ma objąć art. 96 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, który mówi o obowiązkach rodziców wobec dziecka. Obok zapisu, że rodzice wychowujący dziecko powinni troszczyć się o jego fizyczny i duchowy rozwój, pojawił się dopisek o zapewnieniu latorośli bezpieczeństwa. Z uzasadnienia ustawy wynika, że pod tym hasłem kryje się każde działanie wchodzące w zakres domowych patologii. Wachlarz możliwości jest szeroki: od zaniedbań przez uzależnienia starych po wszystkie opcje gnębienia.

Organizacje antyprzemocowe zwracają uwagę, że projekt ustawy regulującej opiekę naprzemienną musi być zgodny z Konwencją Stambulską. Jej zapisy – w uproszczeniu – mówią o tym, że bezpieczeństwo ofiary i dziecka jest ważniejsze niż prawo rodzica (sprawcy) do kontaktów. Pojawia się zatem niepewność, czy dodanie przesłanki o bezpieczeństwie dziecka jest wystarczające. Być może przepisy należy doprecyzować, żeby kwestia stwierdzonej przemocy od razu ukręcała łeb sprawie, a nie była jedną z możliwości do rozpatrzenia.

Obiekcje w rozmowie z portalem Prawo.pl starała się rozwiać sędzia Maja Jabłońska z Sądu Rejonowego w Olsztynie, wiceprezes Stowarzyszenia Sędziów Rodzinnych w Polsce. Jabłońska podkreśliła, że sędzia, orzekając o pieczy współdzielonej, zawsze bierze pod uwagę różne czynniki, w tym te, które uwzględnia projekt nowelizacji: „Zawsze naczelną przesłanką w tych sprawach pozostaje dobro dziecka. Jeżeli mamy do czynienia z zagrożeniem tego dobra, a sytuacja przemocy domowej jest ewidentna, to sąd ma obowiązek, by uwzględniając tę okoliczność, nie orzec pieczy współdzielonej".

Feministyczna Federacja „Mamy Prawo" natychmiast sędzię ukrzyżowała: „Za całą Pani wypowiedź powinna mieć Pani postępowanie dyscyplinarne. Ta wypowiedź to ciężkie nadużycie" – napisały na facebookowej stronie federacji jej członkinie. I dorzuciły pouczenie, że sędzia ma się uczyć i stosować prawo, a nie oceniać zapisy ustawy. To dopiero początek balu.

Dialogu nie będzie

Organizacje kobiece jak wspomniane „Mamy Prawo" czy Lubuskie Stowarzyszenie na rzecz Kobiet BABA, któremu prezesuje posłanka Anita Kucharska-Dziedzic, zarzekają się, że opiekę naprzemienną popierają, ale to gówno prawda. Obydwie prowadzą intensywne kampanie zohydzające współdzielenie opieki przez rodziców, momentami sprowadzając dyskusję do poziomu porównywalnego z argumentacją tych ojców, którzy głoszą, że obowiązek alimentacyjny czyni z nich bankomaty. „Mamy Prawo" z jednej strony stara się edukować i alarmować o skandalicznych lukach w zapewnieniu pomocy i sprawiedliwości dla ofiar przemocy domowej – z drugiej przetyka misję edukacyjną komediowymi filmikami robiącymi z ojców idiotów.

„Opieka naprzemienna z urzędu! Zniesienie alimentów! Co prawda jestem kierowcą międzynarodowym, ale jeśli to problem, to babcia się zajmie i babci będę płacił na utrzymanie" – głosi hasło jednego z nich. Na kilku innych ojcowie są przedstawieni jako niemoty, które na wizytach lekarskich/szkolnych nie wiedzą, ile lat mają ich dzieci ani nawet jakiej są płci. Kupa śmiechu z przewagą kupy.

BABA idzie w socjotechnikę „zajebać miłością". W gąszczu wodolejstwa przytacza bliżej niesprecyzowane badania, które mają dowodzić, jak paskudnym błędem jest opieka współdzielona, przy okazji pomijając te, które ten model opieki rekomendują. „Z tego wszystkiego wynika prosty, ale bardzo ważny wniosek: dziecko nie powinno być zmuszane do życia jak kurier między dwoma domami tylko dlatego, że taki model wydaje się wygodny lub sprawiedliwy z perspektywy dorosłych. (…) Dlatego warto zadawać nie tylko pytanie o to, czy dorośli podzielili czas »po równo«, ale przede wszystkim pytanie: czy dziecko ma spokojną, przewidywalną codzienność i nie zostało sprowadzone do roli osoby stale przemieszczającej się między dwoma światami" – można przeczytać na stronie BABY. Dawca spermy – w domyśle – powinien zatem skleić wary.

I tak delikatnie. Prezeska Kucharska-Dziedzic w licznych wypowiedziach na temat mężczyzn nie gryzła się w język. „Drogi żołnierzu, wysyłają Cię na wojnę. Straszne? Ale w nagrodę możesz sobie pogwałcić" – napisała na X w lutym 2024 r., włączając się do dyskusji o prawie mężczyzn do decydowania o własnym ciele. W kwestii prawa do opieki nad dziećmi wypowiadała się równie soczyście.

„Tak, wolę dziesięciu skrzywdzonych fałszywymi pomówieniami ojców niż jedno zgwałcone dziecko. Bo tych dziesięciu ojców wróci w chwale, jako ofiary pomówień, ale jedno dziecko już na zawsze pozostanie z piętnem gwałtu na dziecięcej duszy i ciele" – napisała posłanka

na swoim Facebooku w 2023 r. Wyjątkowo obrzydliwa manipulacja. Fragment wyłuskał i przytoczył w „NIE" 40/2023 Waldemar Kuchanny, który wielokrotnie polemizował na łamach z mizoandrycznymi wyskokami Kucharskiej-Dziedzic. Również jako ojciec, który prawo do opieki naprzemiennej w sądzie wywalczył. Zajęło mu to trzy lata i kosztowało grube tysiące, a gdyby opieka naprzemienna była standardem, można byłoby tego uniknąć i poświęcony na to czas oraz pieniądze przeznaczyć dla dziecka.

Członkinie „Mamy Prawo" uważają, że ustawa Żurka będzie strzałem w kolano KO. Niekoniecznie. Z dużą dozą pewności przyprawi natomiast gębę dyskryminacji Lewicy i skupionym wokół niej środowiskom. „Sytuacja, w której kobieta na urlopie macierzyńskim zostaje zwolniona, jest wizerunkowo bardzo niedobra. To nie jest coś, co sprzyja naszej wiarygodności" – powiedziała 26 marca na antenie RMF FM Anita Kucharska-Dziedzic w kontekście odwołania ze stanowiska wicedyrektorki departamentu ds. równego traktowania w kancelarii premiera. Prymitywne torpedowanie prób ucywilizowania kwestii opieki nad dziećmi po rozwodzie rodziców z pewnością podbije tę stawkę.

IDALIA DUBICKA

bierano paszporty, co uniemożliwiało im zmianę pracy lub powrót do kraju. W sprawie zatrzymano właścicieli firmy transportowej oraz dwóch funkcjonariuszy straży granicznej. Zarząd Transportu Metropolitalnego, który zawiaduje komunikacją miejską w regionie Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii – twierdzi, że zarzuty prokuratury są z brudnego palca wyssane.

▮ Ministerstwo Edukacji pod światłym kierownictwem tzw. lewicy wymyśliło, że od września szkoła ma być rezerwatem analogowej nudy. Zakaz telefonów dla dzieciaków to genialny ruch – w świecie, gdzie bez smartfona nie da się już nawet porządnie przekląć. Brawo! Po pomysłach na prohibicję w sejmie, opodatkowaniu schabowego i przymuszaniu do szczepień rękami kapitalistów, to jest brakujący element układanki pod tytułem „Jak skutecznie wyprowadzić sztandar". To nie jest program wyborczy, to jest list pożegnalny. Majstersztyk politycznego samobójstwa.

▮ Polska, jak zwykle, jest przedmurzem – tym razem gazowym. Mamy w magazynach prawie 49 proc. paliwa, co przy unijnej nędzy wygląda na bogactwo godne szejków. Ostatni gazowiec z Kataru, o nazwie Duhail, przypłynął 24 marca i na razie to koniec morskich dostaw. Specjaliści od urzędowego optymizmu uspokajają: Bliski Wschód niech podpala Włochów i Belgów, my mamy przecież rurę od wikingów. Możemy spać spokojnie, bo jak nas nie zagazują Arabowie, to zrobią to Norwedzy.

▮ Polska Grupa Odlewnicza ogłosiła gotowość do produkcji korpusów pocisków armatnich kalibru 120 mm. Nowa linia w Kuźni Glinik w Gorlicach pozwala na wytwarzanie do 40 tys. tych niepokojących „produktów" rocznie. Technologia spełnia standardy NATO. Pozostaje więc problem natury rynkowej: żeby biznes naprawdę nabrał rozpędu, ktoś musi chcieć to wszystko wystrzelić. A 40 tys. pocisków rocznie to już nie jest strzelanie do rzutek – to poważna inwestycja w krajobraz z krzyżami.

▮ Ministerstwo Spraw Zagranicznych podniosło poziom ostrzeżenia dla Kuby do czwartego (najwyższego) i odradza wszelkie podróże. Być może ma to związek z wystąpieniem Donalda Trumpa, który stwierdził, że będzie miał zaszczyt wzięcia Kuby. Z kolei sekretarz stanu Marco Rubio zaznaczył, że władzę na wyspie powinni przejąć „nowi ludzie". Ameryce najwyraźniej przeszkadza, że od 65 lat na Kubie panuje spokój. Owszem, reglamentowany, podszyty biedą i dymem z cygar, ale stabilny pod rządami Komunistycznej Partii Kuby.

RJ

PS Doniesienia pochodzą, jak zwykle, z prasy regionalnej – miejskiej i wiejskiej. Materiał ten, z uwagi na swój charakter, nie zawsze daje podstawy do pełnego zaufania. Tym samym oczekiwanie bezkrytycznej wiary ze strony odbiorcy należałoby uznać za nieuzasadnione. W zakresie odpowiedzialności prawnej nasza redakcja stanowczo stwierdza: nie zachodzą przesłanki do jej przypisania.

eprasa.pl 5e32e32b68

Irański efekt motyla

Wyślijcie rachunek do Trumpa

Rząd postanowił ulżyć dotkniętemu skutkami wojny na Bliskim Wschodzie narodowi i obniżył ceny paliw. Mimo to, jeśli sytuacja w regionie eskaluje – a na to się właśnie zanosi – koszty militarnych zabaw USA i Izraela odczujemy prędzej niż później, z nie całkiem oczywistych kierunków. Im dłużej trwa konflikt na Bliskim Wschodzie, tym bardziej prawdopodobne, że jego konsekwencje będą długotrwałe. Blokada cieśniny Ormuz, ataki na infrastrukturę paliwowo-energetyczną, groźby jemeńskich Huti o ewentualnej blokadzie cieśniny Bab al-Mandab wespół z samobójczą misją Trumpa i Netanjahu nie są dobrymi prognostykami. Wszyscy dostaniemy po kieszeni.

Ceny paliw – jak wiadomo – przekładają się na koszty ponoszone niemal przez każdy sektor gospodarki. Cena transportu i ciepła – również przemysłowego – to tylko jeden z kanałów wzrostu wydatków i cen wytwarzania towarów i usług. Ropa i gaz są surowcami do produkcji m.in. wyrobów i substancji chemicznych czy tworzyw sztucznych. Ich wyższe ceny to jedna strona medalu, problemem są także ograniczenia w dostępności surowców, które mogą prowadzić do zatrzymania produkcji.

Elektrodupa

W połowie marca irańskie uderzenia zgruzowały instalacje katarskiego zakładu produkcji skroplonego gazu ziemnego (LNG) Ras Laffan. Szacuje się, że atak ograniczy jego moce na ok. pięć lat i będzie powodował blisko 20 mld dol. strat rocznie. Ucierpią nie tylko dostawy gazu, ale też produkty uboczne skraplania i rafinacji gazu ziemnego – w tym hel. Ośrodek w Ras Laffan odpowiadał za jedną trzecią światowej produkcji tego gazu. W efekcie rynek straci ok. 5,2 mln m sześc. helu miesięcznie przy praktycznie zerowych globalnych zapasach. Wszystko dlatego, że hel szybko paruje i musi być dostarczany w ciągu ok. 45 dni. Ceny gazu już wzrosły o blisko 70 proc. i mówi się, że to nie koniec. Ogół społeczeństwa kojarzy hel głównie z fruwającymi balonikami i śmiesznym gadaniem, tymczasem jest on niezbędny dla przemysłu kosmicznego, procesów laboratoryjnych, produkcji światłowodów, chłodzenia wafli krzemowych czy – ciekawostka – działania rezonansu magnetycznego.

Jedynym producentem helu w Europie jest Polska, konkretnie należący do Orlenu zakład w Odolanowie. Kraj nad Wisłą odpowiada za 1 proc. globalnej produkcji. Większość polskiego helu trafia na eksport. Orlen potwierdził, że sytuacja na Bliskim Wschodzie nie wpływa na proces, sprzedaż jest realizowana zgodnie z planem i kontraktami, a krajowe zaplecze zabezpieczone. Gdzie zatem leży problem? Zakłócenia dostaw i wzrost cen helu podnoszą koszty produkcji chipów, co przekłada się na droższe układy scalone i elektronikę – komputery, smartfony, laptopy, serwery AI, sprzęt AGD i tak dalej. Polska niemal całą elektronikę importuje z Azji. Wyższe koszty globalne produkcyjne i transportowe poniosą oczywiście konsumenci.

Koszmar pigularza

Pochodne surowców petrochemicznych są wykorzystywane do produkcji aktywnych substancji farmaceutycznych (API). Stanowią niemal 100 proc. surowców wyjściowych w syntezie chemicznej większości leków syntetycznych. Prawie wszystkie syntetyczne API (czyli większość substancji czynnych w kapsułkach i tabletkach) zaczynają się od benzenu, etylenu, propylenu, toluenu, ksylenów oraz ich pochodnych. Dla przykładu: benzen służy m.in. do produkcji paracetamolu, aspiryny, niektórych antybiotyków i leków przeciwbólowych.

W Polsce proste surowce i rozpuszczalniki do produkcji API (np. w Polpharmie) pochodzą częściowo z krajowej petrochemii. Dominującym dostawcą ropy do kraju jest Arabia Saudyjska. Blokada cieśniny Ormuz przekłada się zatem na wzrost cen sprzedawanych przez Orlen i Anwil półproduktów i rozpuszczalników – z powodu wyższych kosztów surowców i premii za ryzyko. 80 proc. składników do pichcenia leków trafia do Polski z Indii i Chin, gdzie setki producentów również bazują na surowcach z krajów Zatoki Perskiej. Globalny łańcuch dostaw farmaceutycznych jest ściśle powiązany.

Wysokie koszty zakupu surowców i transportu (również lotniczego) wykoszą mniejszych producentów API. Wszystko to razem wywinduje ceny. Jeśli wojna się rozhula, zapasy farmaceutyków stopnieją i niektórych leków może zwyczajnie zacząć brakować.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Na tę chwilę to czarny scenariusz, ale pokazuje, jak ważne jest – przynajmniej częściowe – uniezależnienie się od Azji w produkcji półproduktów farmaceutycznych.

Ani mięska, ani ziemniaczka

Z okazji amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran w ciemnej okrężnicy znaleźli się rolnicy. Nawozy azotowe (saletra amonowa, mocznik, RSM itd.), które dominują w krajowym rolnictwie, są produkowane głównie z gazu ziemnego. Stanowi on blisko 80 proc. kosztów ich wytwarzania. Największy polski producent – Grupa Azoty – jest szczególnie wrażliwy na wahania jego cen na europejskim rynku, te zaś z powodu burdelu na Bliskim Wschodzie skoczyły o kilkadziesiąt procent.

Kiepsko się to wszystko zeszło. Od lipca 2025 r. Unia Europejska wprowadziła wyższe cła na nawozy z Rosji i Białorusi. To Azotom zrobiło dobrze, ale ograniczyło dostęp do relatywnie tanich nawozów ze Wschodu, co wcześniej rekompensowało wysokie ceny gazu. Niestety, w efekcie rynek stał się bardziej zależny od droższej produkcji europejskiej i globalnych cen. Żeby było mniej zabawnie, Bliski Wschód jest jednym z największych światowych eksporterów mocznika. Zakłócenia transportu i produkcji w regionie powodują opuchlinę cen na światowym rynku, co szybko przenosi się na Europę. Mówiąc w skrócie, grozi nam uderzenie inflacją cen żywności z dwóch stron: drogich paliw i drogich nawozów.

Zasady gry

Pod koniec marca ekonomiści Allianz Trade opublikowali opracowanie, z którego wynika, że w scenariuszu przedłużającego się konfliktu w Zatoce Perskiej Polska ucierpi najbardziej w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. A to ze względu na strukturę importu i słabsze poduszki bezpieczeństwa w gospodarce, czyli rezerwy i marginesy bezpieczeństwa, jakie państwo ma do dyspozycji, gdy gospodarkę rozjedzie szok zewnętrzny. Mówiąc inaczej, to zdolność rządu i banku centralnego do łagodzenia skutków kryzysu bez wywoływania kolejnych problemów. Składa się na to kilka elementów: niski deficyt budżetowy, niski lub zerowy deficyt na rachunku bieżącym, rezerwy walutowe i stabilny kurs waluty, niski dług publiczny w relacji do PKB, możliwość szybkiego obniżenia stóp procentowych oraz rezerwy strategiczne. Im większe poduszki, tym łatwiej można pomóc gospodarce wsparciem dla firm czy tarczami antyinflacyjnymi dla ludu. Niestety, gówno z tego będzie.

Po pierwsze Polska ma potrójny deficyt – budżetowy, obrotów bieżących i strukturalnie ujemny bilans energetyczny. Po drugie, koszty pożyczkowe Polski prawdopodobnie gwałtownie wzrosną, gdy inwestorzy zaczną wyceniać wyższe długoterminowe ryzyko inflacyjne. Krajowe obligacje i waluta mogą się znaleźć pod silną presją spadkową. Mamy przesrane z każdej strony.

IDALIA DUBICKA

Instrukcja likwidacji człowieka

Pieczony listonosz w sosie z węgla kamiennego

Ja nie jestem Karol Marks. Mógłbym z nim konkurować co najwyżej na brody (a i to beznadziejnie). Niemniej jednak, nawet bez studiowania „Kapitału”, trudno nie zauważyć, że nasz rodzimy kapitalizm się zużył. To system schyłkowy.

Rzeźnik w Armanim

Bo oto gruchnęła wieść, która wstrząsnęła polskim internetem mocniej niż zgon Chucka Norrisa. Niejaki Sebastian Mikosz, prezes Poczty Polskiej, stracił robotę. Z dnia na dzień stał się zbędny, co jest o tyle zabawne, że przez ostatni rok przekonywał wszystkich, iż to inni są zbędni.

Mikosz to postać niemal biblijna, tyle że zamiast rozmnażać chleb, on go ludziom odbierał. Dokonał rzeczy „wielkiej”. Zredukował deficyt Poczty o 500 mln zł. Metodą godną największych rzeźników polskiego biznesu – wypierdolił na zbity pysk ponad 8 tys. pocztowców.

Opinie o nim są w narodzie, a zwłaszcza wśród tych, którzy jeszcze niedawno dźwigali torby pełne wezwań z sądów, nadzwyczaj spójne. „Bardziej zadufanego w sobie faceta nie widziałem w życiu”. Mikosz niszczył Pocztę Polską z taką samą gracją, z jaką wcześniej „restrukturyzował” LOT w Polsce, a w Kenii tamtejsze linie lotnicze. Facet ma po prostu talent: gdzie się pojawi, tam trawa przestaje rosnąć.

Ale czy to jego wina – hmm, chyba nie. Sebastian Mikosz jest po prostu modelowym produktem systemu w garniturze od Armaniego, w którym sukces mierzy się ilością wyprodukowanych nieszczęść.

Prawo do bycia darmozjadem

Ale zróbmy to powoli, systemowo i fundamentalnie. Poczta Polska to firma państwowa podległa Ministerstwu Aktywów Państwowych, które oczywiście cieszy się z mikoszowych redukcji. Ale teraz ci zwolnieni przez Mikosza poszli na zasiłki fundowane przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Czyli Ministerstwo Aktywów redukuje zatrudnienie, a Ministerstwo Rodziny obsługuje skutki.

Zatem państwo nie pozbyło się kosztów. Państwo je przeksięgowało. A rachunek płaci ten sam podatnik – tylko w innym formularzu. Jasno widać, że jest w tym logika, ale czy jest sens?

Spójrzmy teraz na inną branżę: górnictwo, do którego również dopłacamy grube miliardy, ale jakoś nikt nie odważa się wysłać górników na bruk. Ba, są nawet demagodzy utrzymujący, że węgiel jest jeszcze potrzebny. Zatem nie mogliśmy dopłacać do Poczty i zwolniliśmy 8 tys. osób, aby zaoszczędzić pół miliarda (zatrudnienie w Poczcie Polskiej – około 60 tys. ludzi), ale możemy do węgla dopłacać rocznie 8–9 mld, aby utrzymywać 70–80 tys. pracowników w górnictwie węgla kamiennego.

Logiki już w tym nie ma, ale sens jest taki: listonosz – zwolniony, bo kosztuje; górnik – utrzymywany, mimo że kosztuje. Okazuje się, że problemem nie jest nierentowność. Problemem jest to, kto ma do niej prawo. I wtedy powstaje zasadnicze pytanie: a gdzie jest tu, do cholery, sprawiedliwość?

Religia świętego zysku

Wpadliśmy w pułapkę myślenia, którą zastawili na nas wyznawcy religii homo economicus – tego harwardzko-radzieckiego bękarta ekonomii, który każe nam wierzyć, że wszystko musi „na siebie zarabiać”. To bzdura. W Polsce mamy całe legiony ludzi i branż, które z punktu widzenia czystego zysku mają tyle sensu, co msza za pomyślność ateisty. Trzeba to wreszcie powiedzieć głośno: żyjemy w świecie, w którym największe budżety idą na produkcję „niczego”.

Weźmy siły zbrojne. To jest permanentny, gigantyczny koszt, który z definicji ma być bezużyteczny. Największym sukcesem armii jest to, że nigdy nie zostanie użyta. Płacimy miliardy, żeby czołgi rdzewiały w garażach, a generałowie mogli prężyć piersi na defiladach. To branża, której ideałem jest absolutna bezczynność. Gdyby armia zaczęła „produkować” swój właściwy efekt, czyli wojnę, to wszyscy byśmy poszli z torbami albo do piachu.

Podobnie policja. Policja nie produkuje niczego, co dałoby się zjeść albo sprzedać. Działa najlepiej wtedy, gdy nic się nie dzieje. Im mniej „efektów” w postaci rozbitych głów i zapełnionych cel, tym teoretycznie lepiej działa system. Płacimy im za to, żebyśmy mogli o nich zapomnieć.

Ochrona zdrowia? To przedsiębiorstwo przedpogrzebowe, którego produktem końcowym jest stan, kiedy „nic się nie stało”. I za to „nic” płacimy coraz wyższe składki, choć każdy księgowy powie, że trzymanie przy życiu staruszka to z punktu widzenia PKB czysta strata.

A na deser mamy public relations i marketing. Tam nie tworzą produktu, tam tworzą pragnienie posiadania. To branża produkująca halucynacje. Sprzedają nam powietrze w ładnym opakowaniu, wmawiając, że bez tego konkretnego modelu szczoteczki do zębów nasze życie jest gówno warte.

Wracamy do naszego nieszczęsnego listonosza. Dlaczego od faceta, który w deszczu targa torbę z listami, wymagamy, żeby był „rentowny”, skoro nie wymagamy tego od biskupa, generała czy dyrektora kreatywnego w agencji reklamowej? Dlaczego listonosz ma „na siebie zarobić”, a armia, policja i marketingowe darmozjady mogą bezkarnie przeżerać miliardy, produkując wyłącznie ciszę, strach albo złudzenia?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Bez strat nie ma zysku

W tym całym amoku nie chodzi tylko o to, kto jest produktywny, a kto nie. Gdybyśmy zaczęli na serio sporządzać listę ludzi „niepotrzebnych”, kolejka do utylizacji ciągnęłaby się od Warszawy po Giewont. W pewnym momencie jakiś pryszczaty magister z Excelem zapukałby także do waszych drzwi, informując z uśmiechem: „Przykro mi, ale pan już nie istnieje, bo kosztuje pan więcej, niż jest wart”. To nie jest ekonomia, to jest czysty, destylowany absurd.

Obiektywnie rzecz biorąc, kurczy się przestrzeń dla ludzi, którzy mogą z czystym sumieniem powiedzieć: „Tworzę wartość”. Zdecydowana więk-

eprasa.pl 5e32e32b68

Między etatem a zieloną trawką

A co z pracownikiem, dla którego nie ma roboty?



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Przez lata w Polsce umowy śmieciowe były pojęciem, w które wrzucano trzy różne zjawiska: umowy-zlecenia, umowy o dzieło oraz fikcyjne samozatrudnienie. Umowa o dzieło była najtańsza dla pracodawcy, bo nie wymagała składek na ubezpieczenia społeczne. Samozatrudnienie było sprytniejszą konstrukcją – pracownik zakładał działalność gospodarczą i wystawiał faktury swojemu pracodawcy. Natomiast umowa-zlecenie stanowiła coś pomiędzy – niby zatrudnienie, niby nie, bo była częściowo ozusowana.

Byle dla ZUS

I właśnie tę ostatnią formę państwo wzięło na celownik. Pretekstem stał się tzw. kamień milowy z Krajowego Planu Odbudowy dotyczący rynku pracy. Politycy przez długie miesiące opowiadali więc o likwidacji patologii zatrudnienia. Brzmiało to pięknie, ale Unii nie chodziło o to, żeby dociążyć składkami kolejne umowy-zlecenia, ale o realne ograniczenie fikcyjnych paraetatów.

W KPO zapisano bowiem zmniejszenie segmentacji rynku pracy, czyli ograniczenie sytuacji, w której identyczna praca wykonywana jest raz na etacie, raz na zleceniu, a innym razem na działalności gospodarczej.

W teorii polskie prawo już to przewiduje. Kodeks pracy mówi, że jeżeli ktoś pracuje pod nadzorem pracodawcy w określonym miejscu i czasie, to powinien mieć etat.

Rewolucja została oczywiście zarzucona, a zamiast niej pojawił się pomysł znacznie prostszy – oskładkować kolejne umowy-zlecenia. Rząd postanowił znaleźć „inny sposób realizacji kamienia milowego". Bo skoro nie da się zmusić pracodawców do etatów, to przynajmniej można ściągnąć od nich składki.

Zrobiono więc dokładnie to, co państwo od dawna robi. Jeszcze w latach 90. można było podpisać kilka zleceń i żadnej składki nie zapłacić. Potem zaczęło się dokręcanie śruby. Najpierw pojawiły się składki emerytalne i rentowe. Następnie wprowadzono zasadę, że trzeba je płacić przynajmniej od minimalnego wynagrodzenia. Potem przyszła kolej na kolejne elementy systemu ubezpieczeń. W efekcie przez lata zlecenie stopniowo przestawało być śmieciówką, a zaczynało przypominać etat, tylko bez jego praw.

Kulminacją tej ewolucji jest sytuacja obecna. Od tego roku nawet składka zdrowotna przy umowach-zleceniach jest obowiązkowa. Tyle że zleceniobiorca wciąż jest bez urlopu, bez stabilności i bez ochrony.

Śmieciuj się, kto może

Zaskakująco mało mówi się o dwóch innych formach zatrudnienia. Bo umowy o dzieło nadal pozostają w ogromnej mierze poza systemem składkowym. A samozatrudnienie – czyli fikcyjna działalność gospodarcza pracownika – funkcjonuje w Polsce na masową skalę.

Według różnych szacunków ponad 2,2 mln osób pracuje na własnej działalności gospodarczej, przy czym ponad 70 proc. z nich nie zatrudnia żadnego pracownika.

W wielu branżach wygląda to tak, że pracownik przychodzi do firmy, siada przy biurku, wykonuje polecenia przełożonego, pracuje w tych samych godzinach co etatowcy, tylko zamiast pensji ma fakturę do wystawienia.

Państwo o tym oczywiście wie. Ale z jakiegoś powodu ta część rynku pracy nie wzbudza aż takiej gorliwości legislacyjnej.

Etatowiec może przez kilka tygodni w roku nie robić absolutnie nic i wciąż dostawać pensję. Jeżeli zachoruje, ma chorobowe. Dla samozatrudnionych i reszty śmieciówkowiczów choroba czy urlop oznaczają przerwę w zarabianiu, co kończy się finansową katastrofą.

Wyobraźmy sobie pracownika, który ma otrzymać wynagrodzenie w wysokości 5 tys. zł brutto. Na etacie jego pracodawca zapłaci w rzeczywistości znacznie więcej. Do pensji trzeba doliczyć składki finansowane przez firmę. W rezultacie koszt zatrudnienia wynosi około 6020 zł.

Z tej kwoty pracownik zobaczy na swoim koncie około 3700–3800 zł na rękę. Reszta pieniędzy trafia do skarbówki i ZUS. I właśnie z tych składek finansowane są urlop, chorobowe czy emerytura.

Jeżeli ten sam pracownik wykonuje pracę na umowie-zleceniu, to przy wynagrodzeniu 5 tys. zł brutto na zleceniu pracodawca wyda około 5200––5400 zł, w zależności od sytuacji ubezpieczeniowej pracownika. Na konto pracownika trafi zazwyczaj około 3900–4100 zł. Czyli zleceniobiorca może zarobić miesięcznie 200–300 zł więcej niż etatowiec, a pracodawca zapłaci mniej. Tyle że ta przewaga kończy się w momencie, gdy pracownik przestaje pracować.

Weźmy urlop: etatowiec mający 26 dni urlopu dostaje za ten czas normalną pensję. Przy wynagrodzeniu 5000 zł brutto oznacza to około 3800 zł netto za miesiąc odpoczynku. Zleceniobiorca w tym czasie dostaje dokładnie zero złotych.

Jeszcze ciekawiej wygląda choroba: pracownik etatowy otrzymuje wynagrodzenie chorobowe wynoszące zwykle 80 proc. pensji. Przy wynagrodzeniu 5000 zł brutto oznacza to około 3000 zł na rękę miesięcznie, nawet gdy ktoś przez cały miesiąc leży w łóżku. Zleceniobiorca, który nie opłaca dobrowolnej składki chorobowej, dostanie w takiej sytuacji zero złotych.

Przedsiębiorcy wybierają zlecenia, bo są bardziej elastyczne i tańsze. Pracownicy je akceptują, bo pozwalają zarobić trochę więcej tu i teraz. Ale gdy przychodzi choroba, urlop albo kryzys gospodarczy, okazuje się nagle, że największą zaletą etatu nie jest wcale wysokość pensji. Tylko to, że nawet gdy człowiek przestaje pracować, pieniądze wciąż przychodzą na konto.

Racje wolnego rynku

Jest niestety i druga strona tego obrazka. I to z nią zaczynamy się borykać, bo bezrobocie rośnie od kilku miesięcy, a ofensywa sztucznej inteligencji w redukowaniu miejsc pracy dopiero się zaczyna.

Umowy śmieciowe pozwalają na coś, co liberałowie nazywają elastycznym rynkiem pracy. Polega to na tym, że w sytuacji gorszej koniunktury pracodawca boi się zaciągać długotrwałych zobowiązań, a takim jest wzięcie kogoś na etat. Bo lepiej mieć pracownika, którego będzie można zwolnić, gdy zacznie brakować zamówień. Ale dzięki temu, że funkcjonują umowy-zlecenia, pracownik może znaleźć robotę u innego kapitalisty, który akurat zlecenia ma. W przypadku braku pracy fakt, że nie ma się chorobowego czy urlopu, naprawdę nie ma znaczenia, bo potrzebna jest kasa na chleb.

Tymczasem klepnięto ustawę stanowiącą, że inspektor pracy może uznać, iż dana umowa cywilnoprawna jest w rzeczywistości stosunkiem pracy. I wtedy ma możliwość nakazać przekształcenie jej w umowę o pracę. W założeniu ma to ograniczyć sytuacje, w których ludzie pracują jak etatowcy, ale formalnie są zleceniobiorcami. Problem polega na tym, że gospodarka działa trochę inaczej niż podręcznik prawa pracy.

Najlepszym przykładem negatywów wypływających z nadmiernego przeregulowania rynku pracy jest jest istniejący od lat mechanizm ochrony pracowników w wieku przedemerytalnym. Prawo pracy przewiduje, że osoba, której do emerytury brakuje czterech lat, znajduje się pod szczególną ochroną – pracodawca praktycznie nie może jej zwolnić. Idea jest szlachetna, bo chodzi o to, żeby starsi pracownicy nie byli wyrzucani z pracy tuż przed emeryturą. Efekt jest odwrotny. Przedsiębiorcy wiedzą bowiem, że zatrudnienie kobiety mającej 56 czy 57 lat czy faceta po sześćdziesiątce oznacza wieloletni obowiązek utrzymywania etatu niezależnie od sytuacji firmy. I dlatego po prostu nie zatrudniają takich ludzi. Przepis, który miał chronić starszych pracowników, uniemożliwia im znalezienie pracy.

Jeżeli się więc połączy sztywną ochronę etatów i ograniczenie elastycznych form zatrudnienia, to powstanie konstrukcja dość osobliwa. Firmy będą ostrożniejsze przy zatrudnianiu, osoby młode mogą mieć trudniej ze zdobyciem pierwszej pracy, a starsi pracownicy nie będą mieli najmniejszych szans nawet na śmieciówkowe zatrudnienie.

W ministerialnych komunikatach reforma jest przedstawiana jako przełom w walce z patologiami rynku pracy. Lewicowi politycy mówią o przywracaniu godności pracownikom. Przedsiębiorcy – o zwiększaniu ryzyka zatrudniania. A pracownicy dowiedzą się, kto miał rację dopiero wtedy, gdy zaczną szukać pracy.

TADEUSZ JASIŃSKI

szość z nas nie byłaby w stanie udowodnić swojej przydatności w prostym księgowym sensie. A mimo to jesteśmy absolutnie niezbędni, żeby ci nieliczni „produktywni" mogli w ogóle rano wstać i nie zwariować.

Weźmy taką edukację. Z punktu widzenia bieżącego budżetu to czysta, krwawiąca strata. Koszt rozciągnięty na dekady, bez żadnej gwarancji zwrotu. Przez kilkanaście lat państwo pakuje pieniądze w człowieka, który formalnie tylko zużywa tlen i papier toaletowy. A jednak bez tego „nierentownego" procesu nie byłoby ani inżynierów, ani lekarzy, ani nawet tych wszystkich idiotów od Excela, którzy później z taką lubością decydują, kto ma prawo do życia, a kto jest tylko błędem w tabelce.

System opiera się na gigantycznej masie ludzi, których wartości nie da się wpisać w rubrykę „zysk" w danym kwartale. Ich praca jest pośrednia, odroczona, rozproszona. Ale bez niej cały ten mechanizm natychmiast by zgrzytnął i stanął w miejscu.

Sprowadzanie wszystkiego do gołej produktywności to prymitywne uproszczenie. W skali państwa to zbrodnia, która eliminuje ludzi nie dlatego, że są zbędni, ale dlatego, że nie mieszczą się w formule wymyślonej przez kogoś, kto świat widzi wyłącznie jako sumę zer i jedynek. To system, który pożera własne dzieci, bo nie potrafi policzyć, ile kosztuje ich brak.

Jak przestać być zerem w Excelu

Pewnie teraz, drapiąc się po brzuchu, próbujecie ustalić, czy jesteście pożytecznymi idiotami, czy tylko zbędnym balastem w tej wielkiej łodzi, która i tak tonie. Zastanawiacie się: „Czy ja w ogóle jestem do czegoś potrzebny, czy tylko marnuję tlen i miejsce w kolejce do lekarza?".

Dochodzimy tu do wniosku, który jest równie praktyczny, co bolesny. Otóż niemal każdy z was chciałby być bogaty. To naturalne – pieniądze nie dają szczęścia tylko tym, którzy ich nie mają, bo muszą się martwić o czynsz. Ale gdyby zapytać przeciętnego zjadacza chleba, po co mu te miliony, poza jachtami i dziwkami, padnie w końcu argument: „Mógłbym wreszcie robić to, za co nikt nie musi mi płacić".

I tu was mam. To jest szczyt hipokryzji. Chcecie mieć fortunę tylko po to, żeby móc za darmo pielęgnować róże, pisać wiersze, których nikt nie przeczyta, albo uczyć dzieci grać w szachy. Krótko mówiąc: marzycie o bogactwie, żeby móc pracować społecznie.

A ja pytam: dlaczego, do diabła, nie możecie robić tego samego, nie będąc majętnymi? Może nie od razu na pełny etat, bo z czegoś trzeba opłacić rachunki.

Praca społeczna – o ile nie wygania was na nią komisarz ludowy, proboszcz albo kurator sądowy – to jedyne zajęcie, które ma głęboki sens. Robicie wtedy to, co jest naprawdę potrzebne, a nie to, co każe wam szef idiota.

To jest właśnie ten nasz mityczny postkapitalizm. Dochód gwarantowany. Państwo rzuca ochłap, żebyście nie zdechli z głodu i nie robili rewolucji. Część z was, ta wrażliwsza, po prostu przedawkuje z nadmiaru wolnego czasu i braku celu, ale pozostali zaczną pracować społecznie. Zaczną robić coś dla innych, bo inaczej oszaleją od własnego odbicia w lustrze.

Zacząć można już teraz. Nie trzeba czekać na wygraną w totka ani na upadek systemu. To jest też moja rada dla tych nieszczęsnych listonoszy, których właśnie wywalili. Skoro i tak nikt wam już nie płaci, to przynajmniej zacznijcie robić coś, co ma sens. Przynieście sąsiadce zakupy, nauczcie kogoś czytać. Bycie niepotrzebnym dla budżetu to jeszcze nie wyrok. To szansa, żeby wreszcie przestać być niewolnikiem i stać się człowiekiem. Biednym, ale wreszcie takim, który wie, że jego życie nie ma ceny i nie podlega żadnemu ekonomicznemu przeliczeniu.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 5e32e32b68

Ile cię trzeba cenić?

Dzięki temu, że „chorujemy”, wielkie koncerny wypłacają sobie sute dywidendy.

Wydawało się, że setki miliardów dolarów, które farmaceuci zarobili na covidzie, zaowocują medykamentami na wszystko. Pfizer z BioNTechem zrobili ze szczepionki na covid prawdziwą drukarkę dolarów. Same tylko ampułki zapobiegające koronawirusowi przyniosły im ponad 37 mld dol. Doliczając zysk z leku Paxlovid – ponad 56 mld. Moderna – firma, która przed pandemią była w cieniu większych graczy – nagle zaraportowała 18 mld przychodu. Johnson & Johnson i AstraZeneca – nawet bez pełnego komercyjnego rozmachu – po kilka miliardów każda. Nawet GlaxoSmithKlein zarobiło prawie 3 mld baksów na samych przeciwciałach.

Uzdrawiająca moc giełdy

Kiedy już policzono zyski, przyszedł czas na decyzje, co zrobić z pieniędzmi. Czy rozbudować laboratoria, zatrudnić naukowców, uruchomić nowe projekty? Gdzie tam. Amerykańskie koncerny farmaceutyczne wypłaciły z zysków więcej, niż same zarobiły. Średni wskaźnik wypłaty dywidendy w 2025 r. sięgnął 125,5 proc. Pfizer – 9,5 mld dol. dla inwestorów, mimo że jego przychody zaczęły już topnieć. Johnson & Johnson? Któryś rok z rzędu podniesiona dywidenda. Merck – 2,1 mld, AbbVie – 1,9 mld, Bristol Myers Squibb – 2,7 mld.

Pieniądze, które mogłyby finansować terapie przyszłości, zamieniano na zastrzyki finansowe kont funduszy inwestycyjnych.

Pfizer wydał w 2024 r. niemal 26 mld dol. łącznie na marketing, administrację i badania. Na badania i rozwój przeznaczył niespełna połowę tej kwoty – ok. 11 mld. Moderna, która dopiero co odkryła, że można zarobić fortunę na jednej cząsteczce RNA, nagle ogłasza, że tnie wydatki badawcze o 20 proc. Bo nie ma pieniędzy na ryzyko. Są pieniądze na pewne zyski.

Medyk szczególnej troski

Gdyby istniała lista zawodów szczególnej troski, lekarze i pielęgniarki zajmowaliby w niej miejsce tuż za nauczycielami i strażakami. Tymczasem szpitalne dyrekcje wyją dzisiaj do księżyca, że 80–90 proc. ich kosztów to same płace. A przecież nie chodzi o nadzwyczajne premie, tylko o gołą podstawę. O to, co gwarantuje ustawa. Co roku 1 lipca przychodzi państwowa podwyżka, a z nią rachunek, na który nikt nie chce się zrzucić. Państwo umywa ręce, NFZ milczy, a dyrektorzy mają płacić – choćby z powietrza.

W tym roku koszty minimalnych podwyżek pensji w ochronie zdrowia szacuje się na co najmniej 9,1 mld zł. Ale to tylko wersja bazowa. Dyrektorzy szpitali – uwzględniając wzrosty kosztów życia i kontraktowania – mówią już o kwotach rzędu 18–19 mld zł. Różnica niebagatelna, zważywszy, że cały budżet NFZ na 2024 r. to 190 mld. Czyli na same podwyżki – minimalne – trzeba będzie wysupłać od 5 do 10 proc. całej kasy na zdrowie.

Minimalna pensja lekarza specjalisty od lipca 2024 r. rośnie o 1488 zł – do 11 863 zł. Lekarze bez specjalizacji zyskali 1221 zł – ich pensja wyniesie 9736 zł. Stażyści? 7772 zł – to prawie 1000 zł więcej niż dotychczas. Pielęgniarki z tytułem magistra, farmaceuci i diagności dostają 1323 zł podwyżki, osiągając pułap 10 554 zł. Ratownicy medyczni, fizjoterapeuci i położne z licencjatem – wzrost o 964 zł do poziomu 8345 zł. Nawet opiekunowie medyczni i technicy ze średnim wykształceniem – 882 zł więcej, razem 7036 zł miesięcznie.

Tylko czy kogoś jeszcze dziwi, że lekarz może zarabiać – z dodatkami, dyżurami i kontraktami – po 20, 30, a nawet 40 tys. zł? Że pielęgniarka na dwóch etatach wyciąga 15 tys.? Że technik radiologii z trzech miejsc pracy robi 12 tys. miesięcznie? To nie bajki. To system, który stworzyliśmy – zastraszeni odejściami, protestami i nieustającym szantażem moralnym.

A przecież koszt wykształcenia jednego lekarza to około 500–600 tys. zł z kieszeni państwa. Co roku uczelnie medyczne opuszcza około 3 tys. absolwentów, z czego co czwarty wyjedzie za granicę. W 2023 r. w samym tylko województwie mazowieckim złożono 158 wniosków o zaświadczenie do pracy w innych krajach UE. W całej Polsce takich wniosków było ponad 1000. I nie są to statystyki wyjątkowe – ten trend trwa od ponad dekady.

Absurd systemowy polega na tym, że lekarze – wykształceni przez państwo, za państwowe pieniądze – grożą państwu, że jeśli nie zapłaci im tyle, ile sobie zażyczą, to znajdą sobie inne państwo. Gdzie będzie mniej dyżurów, więcej urlopów i darmowa kawa w szpitalnych bufetach.



Rys. TOMASZ WIATER

My zostaniemy z problemem arytmetycznym. Bo przy obecnym tempie wzrostu wynagrodzeń co roku trzeba dorzucać kilka miliardów. W 2022 – 7 mld, w 2023 – 8,6 mld, w 2024 – już 9,1 mld zł. Co będzie w 2025? 11? 13? A przecież mówimy tylko o minimum ustawowym. Płacimy za iluzję, że jesteśmy w stanie utrzymać system, który dawno już się wykoleił.

Chory, chorszy...

Kiedyś 240 mg/dl to był cholesterol wzorcowy. Teraz, jeśli masz powyżej 200, w najlepszym wypadku dostaniesz broszurkę o miażdżycy. W najgorszym – receptę na statyny i bilet wstępu do kolejki na kontrolne badania co 12 tygodni. Oficjalnie – profilaktyka. Nieoficjalnie – rozkręcony interes.

Według Światowej Organizacji Zdrowia zbyt wysoki cholesterol zabija co roku 2,6 mln ludzi. Tyle że „zbyt wysoki” to pojęcie względne – zależne nie tyle od serca pacjenta, ile od wytycznych, które od lat sukcesywnie tnie się jak kalorie w diecie. Dawne 240 mg/dl to dziś „zagrożenie”. Bo im niższy pułap uznamy za niebezpieczny, tym więcej pacjentów trafi na listę zagrożonych. A to znaczy: więcej wizyt, więcej leków, więcej analiz.

Zależnie od wieku i stanu zdrowia rekomendacje są tak elastyczne, że można je dopasować do dowolnego scenariusza. Osoba zdrowa może badać się co 4–6 lat. Ale jeśli skończyła czterdziestkę – już co dwa. Jeśli ma nadwagę, nadciśnienie, pali papierosy, ma cukrzycę – powinna badać się jeszcze częściej. Najlepiej raz do roku. A jak już łyknie statyny, to obowiązkowo co 12 tygodni. Bo trzeba „monitorować skuteczność leczenia”. Czyli wciągnąć delikwenta w stały obieg: gabinet–laboratorium–apteka.

Cholesterol bada się dziś bez potrzeby głodzenia się na czczo. I dobrze – bo więcej ludzi da się namówić. Kiedyś trzeba było wstać wcześniej, odmówić śniadania i pojechać do przychodni. Teraz? Można wpaść między obiadem a kolacją. Wystarczy tylko powiedzieć, co i kiedy się jadło. Resztę zrobi algorytm w laboratorium. A jak wyniki wyjdą złe? Tym lepiej dla „dalszej diagnostyki”.

Z ciśnieniem ta sama śpiewka. Do niedawna 140/90 było początkiem problemów. Dziś „podwyższone” ciśnienie zaczyna się od 120/70. A skoro norma się przesuwa, to i liczba nadciśnieniowców rośnie. A im więcej „chorujących”, tym więcej „ratowanych”. Statystyki sercowo-naczyniowe mają się źle – głównie dlatego, że ich definicje regularnie się zaostrzają. Naukowcy nazwaliby to prewencją. Cynik – planem sprzedaży.

Bo to wszystko – od interpretacji norm przez częstotliwość badań po kryteria ryzyka – ustalają gremia powiązane z biznesem. A lekarze, choć niekoniecznie w zmowie, z zapałem odgrywają swoją rolę. Zgłasza się pacjent z cholesterolem 210? Do niedawna pogratulowano by dobrej diety. Dziś wystawi się skierowanie i receptę.

Nie chodzi tu o spiskową teorię. Chodzi o prostą, chłodną kalkulację. Jeśli zamiast jednego pacjenta jest pięciu i każdy co kwartał robi lipidogram, to laboratorium zarabia pięć razy więcej. Jeśli do tego połowa z nich trafi pod opiekę kardiologa – to już nie profilaktyka, tylko maszynka do zarabiania.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie W DOBROBYCIE

● Przez lata tłumaczono nam, że emerytura to prosta sprawa – odkładasz składki, dostajesz świadczenie. Tymczasem kluczowe pytanie nie brzmi „ile wpłaciłeś”, tylko „ile statystycznie pożyjesz według GUS”, który co roku publikuje nowe tablice i potrafi jednym ruchem zmienić wysokość świadczeń dla setek tysięcy osób, bo jeśli statystyczna długość życia rośnie o rok, to emerytura spada, a jeśli spada o rok – jak to się zdarzyło po pandemii – to świadczenia nagle rosną nawet o kilka procent, co oznacza różnice rzędu kilkuset złotych miesięcznie i dziesiątek tysięcy złotych w całym okresie pobierania emerytury. W 2024 r. przeciętne dalsze trwanie życia dla 60-latki wynosiło ponad 264 miesiące, czyli 22 lata, a dla 65-latka około 216 miesięcy, czyli 18 lat, i to właśnie przez te liczby dzieli się zgromadzony kapitał, co oznacza, że ktoś mający na koncie w ZUS 600 tys. zł, dostanie około 2777 zł miesięcznie przy 216 miesiącach, ale jeśli GUS uzna, że statystycznie będzie żył dłużej i podniesie wskaźnik do 228 miesięcy, to świadczenie spada do 2631 zł, czyli o prawie 150 zł miesięcznie, bez względu na to, czy dana osoba faktycznie dożyje tych lat, czy nie, bo system nie rozlicza się z rzeczywistością, tylko z tabelką. Bywają jednak momenty, gdy statystyka nagle poprawia sytuację emerytów, jak po pandemii, kiedy oczekiwana długość życia spadła, co spowodowało wzrost nowych emerytur nawet o 5–8 proc., czyli przy świadczeniu rzędu 4000 zł oznaczało to dodatkowe 200–300 zł miesięcznie, i nagle okazało się, że nie trzeba było ani więcej pracować, ani więcej odkładać, wystarczyło przejść na emeryturę w odpowiednim momencie. Średnia emerytura w Polsce wynosi dziś około 3500–4000 zł brutto, przy czym średnia dla mężczyzn przekracza 4600 zł, a dla kobiet jest znacznie niższa, często poniżej 3000 zł. System, który miał być oparty na zasadzie „ile wpłacisz, tyle dostaniesz”, zamienił się w konstrukcję, gdzie kluczową rolę odgrywa prognoza, czyli wróżenie z fusów.

● Od lat politycy przedstawiają Polskę jako kraj, który z determinacją odchodzi od paliw kopalnych i zmierza w stronę atomu oraz odnawialnych źródeł energii. Prawda zaś wygląda inaczej. Bo oto w momencie, gdy gaz na światowych rynkach drożeje, a jego ceny w Europie potrafią być wielokrotnie wyższe niż jeszcze kilka lat temu, Polska decyduje się na budowę kolejnych bloków gazowych. W Ostrołęce powstaje blok o mocy ok. 750 MW, który zastąpi niedoszłą inwestycję węglową, a jego koszt liczony jest w miliardach złotych. W Dolnej Odrze realizowany jest projekt dwóch bloków gazowo-parowych o łącznej mocy około 1400 MW, czyli porównywalnej z dużą elektrownią systemową. W Rybniku PGE planuje budowę kolejnej jednostki gazowej o mocy około 800 MW, a w Gdańsku powstaje blok gazowy o mocy około 450 MW. Do tego dochodzą inwestycje w Grudziądzu, gdzie mowa jest o jednostce rzędu 560 MW, oraz kolejne projekty rozproszone w całym kraju, które razem składają się na kilka gigawatów nowych mocy opartych na gazie. Wszystko to dzieje się w czasie, gdy oficjalnie mówi się o odchodzeniu od węglowodorów kopalnych. Trudno o lepszy przykład hipokryzji niż to, że jedną ręką ogłasza się koniec epoki paliw kopalnych, a drugą podpisuje kontrakty na infrastrukturę, która będzie je spalać przez kolejne 30 czy 40 lat. Bo tyle wynosi realny czas życia takich instalacji. Na domiar wszystkiego gaz, który ma zasilać nowe bloki, nie będzie ani tani, ani stabilny cenowo, a na dodatek musimy go importować. W ostatnich latach ceny gazu potrafiły rosnąć o kilkaset procent. Inwestujemy w moce, które będą od tego gazu całkowicie zależne. Opowieści o „odchodzeniu od paliw kopalnych” to zatem kit. Bo owszem, odchodzimy od węgla, ale nie od węglowodorów jako takich. Gaz wszak jest paliwem kopalnym, jego spalanie emituje CO_2, a jego cena zależy od globalnych spekulantów.

● Jeszcze kilka lat temu sprzątanie mieszkań w Polsce było jedną z najtańszych usług, jakie można było zamówić do domu. Powód był prosty i znany każdemu, kto choć raz próbował wynająć pomoc do sprzątania. Robiły to głównie Ukrainki. Przed rosyjską agresją w 2022 r. pracowało ich w Polsce około miliona, dzięki temu ceny były stosunkowo niskie, a właściciele mieszkań mogli żyć w przekonaniu, że kapitalizm ma jednak swoje zalety. W dużych miastach za sprzątanie mieszkania płaciło się wtedy zazwyczaj 20–25 zł za godzinę, a całe mieszkanie o powierzchni 50–60 mkw. można było doprowadzić do porządku za 100–150 zł. Czasy się zmieniły i dziś sprzątanie mieszkań w Polsce stało się usługą luksusową. W Warszawie za jednorazowe sprzątanie mieszkania trzeba zapłacić 250–350 zł, a w przypadku większych lokali nawet 400 zł i więcej. W Krakowie ceny zaczynają się od 200–250 zł, a w Trójmieście czy Wrocławiu osiągają podobny poziom. W przeliczeniu na godziny oznacza to zwykle 50–70 zł, choć w przypadku bardziej wymagających zleceń stawki dochodzą nawet do 80 zł za godzinę. Jeżeli ktoś chciałby mieć porządek raz w tygodniu, musi liczyć się z wydatkiem 800–1200 zł miesięcznie. W wielu przypadkach oznacza to kwotę wyższą niż rata kredytu hipotecznego. Najciekawsze jest jednak to, że liczba Ukrainek w Polsce jest dziś większa niż przed wojną. Logika podpowiadałaby więc, że skoro potencjalnych pracownic jest więcej, to ceny usług powinny spaść. Okazało się jednak, że ponad 60 proc. Ukrainek pracujących w Polsce ma wykształcenie wyższe, a kolejne kilkanaście procent ukończyło szkoły zawodowe lub techniczne. Ukrainki nie muszą już biegać z mopem po mieszkaniach polskich nuworyszów, bo pracują w Polsce jako księgowe, specjalistki IT, menedżerki sprzedaży, nauczycielki języków czy pracownice banków, za znacznie lepsze pieniądze.

● Program Czyste Powietrze uruchomiono w 2018 r. Jego budżet wynosi ponad 100 mld zł, a celem było ocieplenie i modernizacja 3 mln domów jednorodzinnych do 2029 r. Po siedmiu latach działania programu podpisano około 800 tys. umów i wypłacono mniej więcej 30 mld zł dotacji. Wychodzi więc na to, że do realizacji celu brakuje jeszcze ponad 2 mln modernizacji, a zostały cztery lata. Tymczasem w zeszłym roku wstrzymano przyjmowanie nowych wniosków dla najuboższych gospodarstw domowych. Powód był banalny: pojawiły się masowe nadużycia. Program zamiast walczyć ze smogiem zaczął finansować kreatywną księgowość części firm instalacyjnych. W niektórych przypadkach inwestycje realizowano nawet bez wiedzy właścicieli domów, którzy podpisywali dokumenty podsuwane im przez sprzedawców chodzących od drzwi do drzwi. Ministerstwo Klimatu i Środowiska kierowane przez Hennig-Kloskę zamiast naprawić system, postanowiło go zatrzymać. Dzięki temu tysiące ludzi, które rozpoczęły inwestycje, zostały z rachunkami i bez dotacji. W kolejce do rozpatrzenia wniosków znalazło się nawet kilkadziesiąt tysięcy spraw, a część osób czekała na wypłatę pieniędzy miesiącami. Teraz ministerstwo ogłasza, że program zostanie „zreanimowany”. Słowo trafne, bo reanimuje się coś, co prawie nie żyje. A skoro trzeba reanimować własny program rządowy, to znaczy, że wcześniej ktoś skutecznie doprowadził go do śmierci klinicznej.



Rys. JANUARY

● Wojna w Ukrainie pokazała światu, że Ukraińcy potrafią robić broń. I to nie tylko taką, która dobrze wygląda na paradzie wojskowej, lecz przede wszystkim taką, która działa w prawdziwej wojnie. A skoro działa, to nagle zaczęła interesować także innych. Najgłośniej o ukraińskich technologiach zrobiło się oczywiście w Stanach Zjednoczonych, gdzie zorientowano się, że wobec dronów US Army jest bezbronna. Ale na współpracę z Ukrainą stawiają także Polacy, i to bez jednego czy drugiego programu SAFE. Firma PONAR Wadowice została właśnie liderem nowej spółki zbrojeniowej tworzonej wspólnie z partnerami z Ukrainy. Przedsięwzięcie ma zajmować się produkcją elementów wykorzystywanych w pojazdach opancerzonych oraz systemach artyleryjskich. A że wojna trwa już ponad cztery lata i nic nie wskazuje na jej szybki koniec, to zapotrzebowanie na taki sprzęt jest spore. Ukraińcy wnoszą do tej współpracy doświadczenie bojowe. Ich rozwiązania powstają bowiem nie w klimatyzowanych biurach projektowych, lecz na podstawie doświadczeń z frontu, gdzie sprzęt musi działać w błocie, mrozie i pod ostrzałem artylerii. A jeżeli system, który w USA kosztuje kilkaset tysięcy dolarów, można zbudować w Ukrainie za kilkadziesiąt tysięcy, to rachunek ekonomiczny staje się dość oczywisty.

TTJ

eprasa.pl 5e32e32b68

Ameryka Łacińska na niebezpiecznym zakręcie

Piaskownica Trumpa



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wraz ze styczniową amerykańską agresją przeciw Wenezueli Ameryka Łacińska znalazła się w groźnym momencie swojej historii. Potężna flota wojenna Stanów Zjednoczonych, operująca aktualnie na Morzu Karaibskim, kładzie się ponurym cieniem na zachodnią półkulę. Zagrożone amerykańską inwazją są Kuba, Meksyk, Kolumbia i Nikaragua. Agresywna polityka Stanów Zjednoczonych to dowód, że Waszyngton dąży do totalnej dominacji w tym rejonie świata.

W 2005 r. na IV szczycie państw amerykańskich w Argentynie miały miejsce znaczące dla całego kontynentu wydarzenia. Rząd prezydenta Busha starał się narzucić krajom latynoskim porozumienie ALCA (Área de Libre Comercio de las Américas – Amerykański Obszar Wolnego Handlu). Jego celem było zniesienie wszelkich barier celnych w obrocie gospodarczym między USA i krajami Ameryki Łacińskiej. Akceptacja tego porozumienia prowadziłaby do całkowitej podległości gospodarek latynoskich Stanom Zjednoczonym. Dzięki aktywności takich polityków jak Hugo Chávez, Evo Morales, Néstor Kirchner kraje latynoskie zdecydowanie odrzuciły układ ALCA. Zajęty wojnami w innych częściach świata Waszyngton odmowę – choć z trudem – przyjął.

Przez prawie 20 lat wydawało się, że Ameryka Łacińska pójdzie drogą rozwoju, która jest zgodna z jej własną tradycją i kulturą. Wenezuela pod wodzą Hugo Cháveza, a później Nicolása Maduro przodowała na froncie budowy bardziej ludzkiego systemu, kierującego się dobrem społeczeństwa i państwa. Podobne rozwiązania realizowali inni latynoamerykańscy przywódcy: Evo Morales, Rafael Correa, Inácio Lula da Silva, Néstor i Cristina Kirchnerowie, Andrés Manuel López Obrador.

Czasami postępowi przywódcy, z różnych powodów, nie potrafili spełniać swoich obietnic. W Ekwadorze rządzący w latach 2017–2021 prezydent Lenín Moreno poszedł drogą zdrady i stał się neoliberałem. W Peru Pedro Castillo Terrones padł ofiarą prawicowego zamachu stanu (grudzień 2022). Albert to Ferrnandez, Luis Arce, Gabriel Boric nie stanęli na wysokości zadania. Rozczarowanie ułatwiło zwycięstwa takich postaci jak Javier Milei czy Jose Antonio Kast. W Hondurasie neoliberałowie doszli do władzy drogą wyborczego oszustwa w prezydenckich wyborach w listopadzie 2025.

Sytuacja w Ameryce Łacińskiej zależy od Waszyngtonu. Gdy USA zajęte są w innych miejscach planety, na zachodniej półkuli zwykle zwycięża trend postępowy, prospołeczny. Gdy wzrok Ameryki Północnej pada na południe, władzę przejmują tam mniej lub bardziej represyjne reżimy neoliberalne.

Przez taką perspektywę należy patrzeć na przyszłość Ameryki Łacińskiej w epoce Trumpa.

Ilustruje to Wenezuela, gdzie po amerykańskiej agresji z 3 stycznia br. na czele państwa stoi wcześniejsza wiceprezydent Delcy Rodríguez. Sprawuje władzę jako tymczasowa prezydent, ale – jak twierdzi wielu polityków regionu, np. kandydat z kolumbijskich wyborów prezydenckich z 2022 r., Federico Gutiérrez – jest ona tylko namiestnikiem Waszyngtonu na Wenezuelę. Biały Dom stosuje wobec władz w Caracas metodę indywidualnego terroru i szantażu. Co pewien czas Rodríguez przyjmuje jakiegoś amerykańskiego dygnitarza, który przybywa do Pałacu Miraflores z nowym pakietem żądań i gróźb. Ostatnimi „gośćmi" byli: sekretarz energii Chris Wright, szef USS Southern Command Francis Donovan i Doug Bugrum, sekretarz ds. zasobów. Efektem tych wizyt są m.in. czystki w personelu przedsiębiorstwa PDVSA. Pracę mają stracić ci pracownicy, którzy należeli do rządzącej partii PSUV i wojskowi (PDVSA jako przedsiębiorstwo o kluczowym znaczeniu dla państwa było częściowo zmilitaryzowane). Według informacji, które pojawiły się w sieciach społecznościowych pod koniec lutego, niewielki oddział amerykańskich żołnierzy został rozlokowany w biurach PDVSA.

Po uelastycznieniu pod naciskiem USA prawa o węglowodorach amerykańskie koncerny wydobywają w Wenezueli mnóstwo ropy, a rząd w Caracas nie jest w stanie kontrolować zysków z tego wydobycia. Wizyta Douga Bugruma wzbudziła szczególny niepokój. Zaraz po jego wyjeździe do parlamentu trafiła nowa wersja prawa górniczego, zmieniająca 12 kluczowych zapisów. Deputowani wzdragają się przed akceptacją zmian, uważając że uelastycznienie prawa i dopuszczenie koncernów amerykańskich i międzynarodowych do bezpośredniej eksploatacji zasobów naturalnych może mieć fatalne skutki dla Wenezueli. Deputowani wskazują, że do 2030 r. skutkiem uelastycznienia prawa zdewastowanych zostanie 3,7 mln akrów dżungli chronionej dotychczas przez państwo. Rodríguez jednak naciska, twierdząc, że prawo górnicze musi bardziej odpowiadać standardom międzynarodowym.

Delcy Rodríguez, wbrew wcześniejszym zapewnieniom o utrzymaniu relacji z Kubą, poleciła kubańskim żołnierzom i lekarzom opuszczenie Wenezueli. Zlikwidowała siedem chavistowskich organizacji o profilu młodzieżowym i lewicowym. Oficjalnym uzasadnieniem było ograniczanie wydatków publicznych – co przypomina pospolite praktyki liberalne.

Ogłoszone pod naciskiem Stanów Zjednoczonych prawo o amnestii wzbudziło burzę w parlamencie. Deputowana Iris Varela gwałtownie zaatakowała plany rządu. Oświadczyła, że w więzieniu Helicoide nie ma więźniów politycznych, są tam tylko wrogowie Wenezueli: wewnętrzni i przywiezieni z zewnątrz. Ostatecznie osiągnięto „kompromis". Wypuszczono na wolność 5628 osób. Konflikt zdań między Varelą i Rodríguez miał jednak ciąg dalszy: posłanka publicznie nazwała Rodríguez zdrajczynią, która rozkłada rewolucję boliwariańską od wewnątrz, działa na rzecz USA i w ten sposób utrzymuje się przy władzy. Wkrótce po tej scysji pojawił się nakaz aresztowania Valery.

Zdarzenie to ilustruje skrywane konflikty wewnątrz rządzącej partii chavistowskiej. Delcy Rodríguez radykalnie zmieniła sojusze. Kuba nie otrzymuje już wenezuelskiej ropy, natomiast otrzymuje ją Izrael. Posłuszeństwo Delcy Rodríguez nie zadowala jednak prezydenta USA. 18 lutego Trump przywrócił dekret 13.692 – za pomocą którego Obama obłożył Wenezuelę sankcjami gospodarczymi i politycznymi. Reakcja Rodríguez była zdumiewająca. Zwróciła się ona „do naszego przyjaciela i sojusznika prezydenta Trumpa" z prośbą, by zechciał zdjąć sankcje gnębiące gospodarkę Wenezueli.

Rodríguez usiłuje jednak tez dokonać pozytywnych zmian. Rząd w Caracas podjął decyzję o uruchomieniu produkcji i eksportu wyrobów perfumeryjnych, żelaza, aluminium, kakao, wodorostów morskich etc. i nawiązania ściślejszych więzów gospodarczych z Afryką. Jest to próba zmniejszenia zależności państwa wenezuelskiego od eksportu ropy. Zaplanowano też budowę wielkiego gazociągu zaopatrującego Kolumbię w wenezuelski gaz ziemny. Nie wiadomo jednak, czy zaistnieje odpowiedni klimat do realizacji tych projektów.

Jak w związku z tym kształtuje się przyszłość kraju? Gdy obecny rząd „oczyści" Wenezuelę z wszelkich przejawów chavizmu, do władzy powrócą neoliberałowie ze swoją barbarzyńską, antyspołeczną ekonomią. Wszędzie, gdzie neoliberalna prawica przejmuje władzę, wprowadzana jest polityka cięć i oszczędności osiąganych kosztem uboższych.

W Boliwii w październiku 2025 r. wygrał Rodrigo Paz, kandydat Partii Demokratyczno-Chrześcijańskiej. Jednym z pierwszych jego posunięć było zniesienie państwowych subwencji do węglowodorów – co spowodowało wzrost cen benzyny o 86 proc., ropy – o 162 proc. W efekcie podrożały także inne produkty. W grudniu 2025 r. na wezwanie związku Federacion Nacional de Cooperativas Mineras de Bolivia rozpoczęły się masowe protesty.

W Argentynie 26 i 27 lutego br. miały miejsce ostre zamieszki i walki z policją w miastach Buenos Aires, Cordoba, Bahia Blanca, Neuquen, Mar del Plata, Mendoza. Przyczyn oburzenia społecznego było wiele – np. reforma kodeksu pracy wprowadzająca 12-godzinny dzień pracy. Czary goryczy dopełniło zamknięcie przez Mileia renomowanej fabryki opon Neumaticos FATE i wyrzucenie na bruk jej 920 pracowników.

Przed gmachem parlamentu w stolicy protestowali ekolodzy. Domagali się zaprzestania wprowadzania zmian w ustawodawstwie chroniącym tereny pokryte lodowcami w Andach i na południowych wyspach. Lodowce w Argentynie stanowią zwarty ekosystem utrzymujący 86 proc. miejscowej fauny i są zbiornikami wody zdatnej do picia. Prawica chce udostępnić te tereny dla koncernów wydobywczych.

Polityczny wymiar mają także pożary w Patagonii. Spłonęło tam ponad 12 tys. hektarów lasu. Patricia Bullrich, minister spraw wewnętrznych w rządzie Mileia, bez jakichkolwiek dowodów oskarżyła o podpalanie Indian Mapuche. Peronistowski polityk Santiago Cuneo i wielu znanych dziennikarzy (m.in. Sebastian Salgado, Emanuel Rodríguez) wskazują innych podejrzanych: w rejonie pożarów kręci się dużo izraelskich żołnierzy. Jeden z nich został przyłapany na akcie podpalania. Emanuel Rodríguez zwraca uwagę, że część terenów objętych pożarem została sprzedana przez rząd za zaniżoną cenę – w tym miejscu Izrael planuje budowę fabryki o nieznanym przeznaczeniu. Lasy także płoną w Chile. O zlecanie podpaleń podejrzewana jest amerykańska firma Aclara Recources, która temu zaprzecza.

Obserwując tak kształtującą się sytuację, można sobie wyobrazić, jaka będzie w najbliższych latach przyszłość Ameryki Łacińskiej. Cały ten rejon świata cofnie się w rozwoju, a poszczególne państwa będą sprowadzane do roli bezlitośnie eksploatowanych rezerwuarów bogactw naturalnych i darmowej siły roboczej. Wskutek takiej polityki środowisko naturalne tych krajów zostanie zdewastowane. Rzeczywistość, jaka istniała na Kubie przed 1959 r., w Wenezueli przed 1999 r. czy też ta, jaką na Haiti obserwujemy obecnie – to cel, do jakiego zmierza Ameryka Łacińska w warunkach neoliberalizmu i bezwzględnej dominacji Stanów Zjednoczonych.

ANDRZEJ ULMER

Kończą im się bomby

SŁOWO CZERWONE

Prawdziwa oś zła

Kiedyś na międzynarodowej konferencji handlowej zapytano ministra gospodarki Indii, co można zrobić, żeby pomóc biednym Hindusom. Zużywajcie mniej energii, odpowiedział minister, bo suma energii na świecie jest mniej więcej stała, im więcej wy zużyjecie, tym mniej dla nas zostanie.

Te słowa pozostały bez echa. Zachód zużywa coraz więcej energii, a nawet toczy wojny o ropę, gaz i inne surowce energetyczne. Trump przyznał, że napadł na Iran, żeby kontrolować większość źródeł ropy naftowej. Ameryka wciąż tankuje paliwo galonami – 3,8 l – i nie chce nic słyszeć ani wiedzieć o oszczędzaniu energii czy ochronie przyrody.

Cokolwiek Ameryka robiła dobrego – już przestała. Jednym z pierwszych ruchów Trumpa w jego drugiej kadencji było zamknięcie USAID (U.S. Agency for International Development) co do 2030 r. ma doprowadzić na świecie do 14 milionów dodatkowych zgonów, w tym ponad 4,5 mln dzieci poniżej piątego roku życia.

Najbogatszy kraj globu pod rządami Trumpa usiłuje dosłownie zapanować nad światem, stosując w tym celu siłę militarną. Do niedawna USA cieszyły się sympatią jedynie w dwóch krajach: na Filipinach i w Polsce. Dziś 83 proc. ankietowanych Polaków uważa, że USA, Izrael i Rosja to państwa, które niosą największe zagrożenie dla pokoju.

Dwa kraje, które zużyły większość śmiercionośnych bomb i pocisków na rujnowanie Iranu przyznały się w końcu, dlaczego to robią. USA, bo chodzi im o ropę, a Izrael po to, żeby sprowadzić Iran do poziomu z epoki kamienia łupanego. A gdy zaczynali, opowiadali o zmianie reżimu i wprowadzaniu demokracji.

Teraz Trump oburzony, że jego europejscy sojusznicy nie chcą się przyłączyć do rozpętanej przez USA wojny napastniczej, grozi odejściem z NATO i niewywiązaniem się z sojuszniczych zobowiązań art. 5.

Polscy politycy – przekonani, że jak będziemy kupowali od Amerykanów wielkie ilości bardzo drogiej broni, to sprawimy, że Ameryka nas obroni przed napaścią Rosji – nagle się dowiadują, że mają tę broń Amerykanom oddać, bo arsenały są puste, co utrudnia terroryzowanie Bliskiego Wschodu i reszty świata.

Amerykańska broń, którą Europejczycy kupili od USA dla Ukrainy, została wbrew woli płatników przekierowana na Bliski Wschód.

Kiedy zabrakło na rynkach ropy – bo Iran w odwecie za atak USA oraz Izraela zablokował cieśninę Ormuz – Amerykanie zdjęli sankcje z ropy rosyjskiej. Możliwość sprzedawania ropy, której cena poszła gwałtownie w górę, dawała Rosji wielkie zyski, które mogły wzmocnić rosyjską machinę wojenną. Wtedy Ukraińcy użyli nie drogiej amerykańskiej broni, tylko tanich dronów własnej roboty, do podpalenia instalacji portowych, przez które szła większość eksportu ropy z Rosji. Trump poprosił Ukraińców, żeby skończyli z tym sabotażem, bo to psuje biznes i powoduje utrzymywanie się wysokich cen na stacjach benzynowych. Wygląda na to, że Ukraina nie ma już żadnego powodu, żeby się słuchać Amerykanów, którzy zażądali, aby wojska ukraińskie w ciągu najbliższych dwóch miesięcy opuściły Donbas.

Polskim politykom należy uświadomić, że jesteśmy zdani na siebie. Gdyby Rosja nas napadła, to USA będą nas bronić tylko wtedy, kiedy udowodnimy, że mogą na tym zarobić.

Politycznie i ekonomicznie – a nawet militarnie – USA tracą na wojnie z Iranem. A kto ich do tej wojny namówił? Izrael. To państwo, które stało się współczesnym Mordorem, krainą zła.

Kneset uchwalił właśnie prawo pozwalające wykonywać karę śmierci, ale wyłącznie na Palestyńczykach. W izraelskich więzieniach przebywa obecnie ok. 10 tys. Palestyńczyków. Izraelskie sądy mogą ich teraz masowo posyłać na szubienicę pod zarzutem terroryzmu – a wyroki zapadają tylko jednego rodzaju: winny. Tak więc nie jest to tylko prawo dyskryminacyjne, ale wręcz to otwarcie drogi do masowego ludobójstwa.

Po zamordowaniu ponad 70 tys. Palestyńczyków w Gazie, Netanjahu przybył do Waszyngtonu, gdzie usłyszał od Trumpa, że ma „dokończyć robotę".

USA sieje zniszczenie i upadek, ale nie demokrację. Amerykanie nie popierają wyprawy wojennej swego prezydenta. Ale przecież gdyby wygrał i zdołał ukraść Iranowi jego ropę, powróciłby jako triumfator, a na jego część budowano by tryumfalne bramy jak dla cezarów.

Mówi się, że świat stał się wielobiegunowy. Rosja nie udźwignęłaby ciężaru wojny z Ukrainą, gdyby nie wsparcie Chin. Przez jakiś czas Ukrainę wspierały USA. Ale najwyraźniej interesy łączące Trumpa z Putinem są ważniejsze niż obrona Ukrainy. Europa jest za słaba, żeby dostatecznie pomóc Kijowowi, więc Putin Ukrainę łyknie.

Reżim w Teheranie jest obrzydliwy. Ale celem ataku Izraela jest nie reżim, tylko cywilizacja. A Trump przybył, żeby ukraść ropę. Dlatego świat dziś trzyma kciuki za Iran, nie za demokrację zachodnią reprezentowaną przez Trumpa, bo Izrael jest już tylko osią zła.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 5e32e32b68

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Czy aborcja, eutanazja i dewastacja rodziny, to część „wartości europejskich"? Jeśli tak, to nadają się one tylko do kosza.* ***Nie ma poza Dekalogiem i Ewangelią wartości, na których można coś trwałego zbudować.***

ks. Janusz Chyła, X, 27 marca

■ *Również każdy z nas zaczął istnieć w momencie swojego poczęcia. Więcej nawet: sam Bóg umiłował każdego z nas, zanim w ogóle zaczęliśmy istnieć.* (…) *Nawet jeśli miałem wspaniałych rodziców, na pewno nie kochali mnie przed moim zaistnieniem. Owszem, mogli z największą czułością marzyć o upragnionym dziecku* (…) *ale mnie jako mnie moi rodzice mogli pokochać dopiero wtedy, kiedy ja już zaistniałem.* ***Jeden tylko Bóg pokochał mnie już przed wiekami. To On podarował mnie moim rodzicom (i nie tylko rodzicom), aby przyjęli mnie do swojej wspólnoty miłości.*** (…) ***Stąd konsekwentna niezgoda Kościoła na zabijanie nienarodzonych dzieci.***

o. Jacek Salij OP, Opoka.org.pl, 24 marca

■ ***Gdyby tak odciąć państwowe pieniądze płynące na państwowy Kościół, to może pani Sara wraz z innymi przebranymi za księży zauważyłaby, iż wśród anglikanów mało kogo interesuje ewangelia.*** *Miałem ten sam urząd biskupi co pani Sara, gdy jako 5-latek nakładałem sobie koc, by „odprawić Mszę".*

ks. Daniel Wachowiak, X, 26 marca

■ ***Kościelny język nie ma nic wspólnego z neomarksistowskimi ideologiami, które psują język poprzez odrywanie go od rzeczywistości, w tym od naturalnych procesów rozwoju mowy.*** (…) ***Problemem lewicowo-ideologicznego języka inkluzywnego nie jest oczywiście samo użycie słowa „osoba". To słowo ma historię zakorzenioną w prawdzie o człowieku stworzonym na „obraz Boży".*** *Problem zaczyna się, gdy język przestaje służyć myśleniu, a zaczyna je zastępować. Gdy zamiast opisywać rzeczywistość, ma ją kreować dekretem gramatycznym.* ***A kreatorom nowej rzeczywistości nie podoba się m.in. biblijny fundament prawdy o człowieku: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, stworzył mężczyznę i niewiastę".***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 27 marca

■ ***Jeżeli zrzucimy krzyż z jednego ramienia, pojawi się on na drugim. Jeżeli unikniemy go dzisiaj, już drugi jest przygotowany na jutro. Czy warto się temu opierać? Czy opór coś pomoże?*** (…) *Chrześcijaństwo nie umniejsza cierpienia, nie uważa go za karę Boską, za karmę czy wynik kosmicznego wyrównywania energii. Docenia jego przemieniającą moc.* ***Sens cierpienia na zawsze pozostanie dla nas tajemnicą. Jako chrześcijanie ufamy jednak, że tylko w Bogu odnajdziemy jego zrozumienie i doznamy ulgi.***

ks. Jarosław Grabowski, Niedziela.pl, 24 marca

■ *Żyjemy przecież w czasie ogromnej walki politycznej, kulturowej, cywilizacyjnej. Żyjemy w stanie walki wydanej wierze i rozumowi.* ***Po raz kolejny przekonujemy się, że walka z Bogiem jest zawsze walką z człowiekiem. Próba zabicia Boga staje się realnym zabiciem człowieka. Antyteizm przeradza się niezmiennie w antyhumanizm.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 27 marca

■ ***Dziś nasza chrześcijańska cywilizacja jest zagrożona. Nie tylko z zewnątrz, ale również z wewnątrz. Słyszymy, że patriotyzm to coś, czego powinniśmy się wstydzić, że granice nie są ważne, że wiara powinna zostać wypchnięta z życia publicznego, że tradycja nie jest ważna.*** (…) *Naród bez tożsamości to naród bez przyszłości.* ***I jestem pewien, że my – w Polsce i tutaj, w Stanach Zjednoczonych – na to nie pozwolimy.***

Karol Nawrocki, konferencja CPAC, Dallas, USA, 28 marca

KLECHA



Rys. WIDGET

Korpus strażników katolicyzmu

Templariuszy wyrżnięto, Krzyżacy przeszli na protestantyzm, ale rycerzy Kościoła wciąż ci u nas dostatek.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W polskiej przestrzeni religijnej można znaleźć zjawiska osobliwe. Są objawienia prywatne, są pielgrzymki, podczas których ludzie potrafią przejść pół kraju, są kazania o ubóstwie wygłaszane z pozłacanych ambon i są wreszcie rycerze. Jak ktoś chce takiego zobaczyć, to wcale nie musi jechać na jakąś rekonstrukcję. Najłatwiej zrobić to w niedzielę, po mszy, na parkingu przed kościołem. Tam widuje się mężczyzn w granatowych pelerynach z krzyżem, stojących obok siebie z minami, jakby za chwilę mieli ruszyć na krucjatę.

Krzyżowcy z Ameryki

To Rycerze Kolumba, największa katolicka organizacja świeckich mężczyzn na świecie. Powstała w Stanach Zjednoczonych w 1882 r. Wymyślił ją ks. Michael McGivney. Połączył system wzajemnego ubezpieczenia z religijnym bractwem i nadał mu nazwę, która działała na wyobraźnię. Rycerz miał być człowiekiem honoru, który pomaga słabszym i broni wiary. Tyle że zamiast miecza otrzymywał legitymację członkowską i zobowiązanie do opłacania składek. Dziś organizacja liczy ponad dwa miliony członków i działa w kilkunastu krajach. W Polsce pojawiła się dopiero w XXI w., ale rozwija się bardzo szybko.

Struktura organizacji jest rozbudowana i przypomina trochę połączenie zakonu z korporacją. Na jej czele stoi Najwyższy Rycerz, który urzęduje w Stanach Zjednoczonych i nadzoruje działalność całej organizacji. Pod nim działają struktury krajowe, regionalne i parafialne.

Najbardziej widowiskowym elementem życia Rycerzy Kolumba są ich stroje. Dawniej były one niemal operetkowe: czarne peleryny, kapelusze z piórami, białe rękawiczki i ceremonialne miecze. Dziś jednak noszą granatowe garnitury z beretem i peleryną. Efekt końcowy sprawia wrażenie, jakby delegacja z banku centralnego została przypadkiem obsadzona w filmie o krucjatach.

Dla obserwatorów organizacja jest czymś więcej niż tylko wspólnotą religijną. W Stanach Zjednoczonych zarzucano jej wielokrotnie wpływanie na politykę oraz wykorzystywanie ogromnych środków finansowych do wspierania wszystkich prawicowych inicjatyw ideologicznych spod sztandaru MAGA i pro life.

Pod względem prawnym w Polsce Rycerze Kolumba działają jak zwykłe stowarzyszenie zarejestrowane w sądzie i formalnie nie są częścią struktury Kościoła.

Elita kawalerów

O ile jednak Rycerze Kolumba są parafialną wersją rycerstwa, o tyle Kawalerowie Maltańscy przypominają raczej coś pomiędzy arystokratycznym klubem a mikropaństwem. Zakon Maltański powstał w XI w. w Jerozolimie jako prowadząca szpital wspólnota opiekująca się pielgrzymami. Z czasem rycerze przywdziali zbroje i wzięli udział w krucjatach.

Przez kilka stuleci zakon miał własne państwo – najpierw na Rodos, a potem na Malcie. W XVIII w. utracił terytorium i mogłoby się wydawać, że już po nim. Ale przetrwał i nawet funkcjonuje jako podmiot prawa międzynarodowego. Ma ambasady w ponad 100 krajach, utrzymuje stosunki dyplomatyczne z wieloma państwami i wydaje własne paszporty. Jego siedziba mieści się w Rzymie, w kilku pałacach posiadających status eksterytorialny.

Kawalerowie noszą czarne płaszcze z charakterystycznym ośmioramiennym krzyżem. Podczas uroczystości przypominają delegację z czasów krucjat, która przez pomyłkę znalazła się w epoce telefonów komórkowych.

W Polsce Związek Polskich Kawalerów Maltańskich skupia przedstawicieli elit – lekarzy, przedsiębiorców, dyplomatów, naukowców. Członkostwo w zakonie jest prestiżowe i nie trafia się tam przypadkiem. Zakon prowadzi hospicja, wspiera osoby niepełnosprawne, organizuje pomoc medyczną podczas pielgrzymek. Ale w Azji kawalerowie miast dawać, brali dla siebie, rozkradając środki z programów humanitarnych. Interweniował papież Franciszek, wywalił część kawalerskiej wierchuszki na pysk. Ale to tylko kosmetyka, bo dla znawców kawalerowie mają więcej wspólnego z biznesem niż z paciorkami. Są elitą finansową i polityczną, która pod płaszczem działalności charytatywnej buduje wpływowe sieci układów.

Konkurenci ajatollahów

Kolejną organizacją przebierańców jest Zakon Rycerski Grobu Bożego w Jerozolimie, czyli tak zwani bożogrobcy. Dawno temu ich zadaniem było chronienie Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Dziś na straży nie stoją, ale przetrwali i liczą około 30 tys. członków na świecie.

U nas bożogrobców jest kilkuset. Skład niemal jak w masonerii: profesorowie, lekarze, przedsiębiorcy, prawnicy. Jednak wstąpienie do zakonu wymaga rekomendacji oraz zgody władz kościelnych. Potem kandydat klęczy, a biskup mieczem pasuje go na rycerza.

Bożogrobcy noszą białe płaszcze z czerwonym krzyżem, a ich działalność polega głównie na finansowym wspieraniu chrześcijan w Ziemi Świętej. Pieniądze z darowizn przeznaczane są na szkoły, szpitale i różne projekty społeczne w Izraelu i Palestynie. Zakon podlega bezpośrednio Watykanowi i ma status instytucji kościelnej. W przeciwieństwie do wielu innych bractw nie jest więc zwykłym stowarzyszeniem.

Niepokalani

To jednak ledwie początek listy obrońców wiary nad Wisłą. Wszak najbardziej znanym polskim „rycerstwem maryjnym" jest Rycerstwo Niepokalanej.

Powstało w 1917 r. w Rzymie, a jego twórcą był Maksymilian Kolbe, człowiek o wyobraźni tak bujnej, że potrafił połączyć mistykę, nowoczesną propagandę i średniowieczną symbolikę rycerską. Idea była prosta: każdy wierny może zostać rycerzem Maryi, jeśli odda się jej w opiekę i będzie szerzył kult Niepokalanej. Zamiast miecza rycerz miał używać modlitwy, medalika i – co szczególnie podobało się Kolbemu – prasy katolickiej. W Niepokalanowie powstało prawdziwe imperium medialne. W latach 30. drukowano tam milion egzemplarzy miesięcznika „Rycerz Niepokalanej".

Dziś Rycerstwo Niepokalanej działa na całym świecie i liczy miliony członków. W Polsce jego struktury funkcjonują przy klasztorach franciszkańskich. Członkostwo jest niezwykle proste: wystarczy wypełnić deklarację, przyjąć medalik i zobowiązać się do szerzenia kultu Maryi. Nie zmienia to faktu, że Rycerstwo Niepokalanej jest jednym z najbardziej niezwykłych przykładów religijnej organizacji, która przyjęła militarną symbolikę do celów czysto propagandowych.

Rycerze Niepokalanej nie mają jednak w Polsce maryjnego monopolu. W kraju występują bowiem różne bractwa maryjne o charakterze rycerskim. Jedne nazywają się Rycerzami Maryi Królowej Polski, inne Rycerzami Różańca, jeszcze inne Strażą Maryjną. Często powstają z inicjatywy ambitnego proboszcza, który uznaje, że jego parafia potrzebuje duchowej armii. Członkowie takich oddziałów zobowiązują się do codziennej modlitwy, uczestnictwa w nabożeństwach i obrony wiary. Ale zamiast zbroi mają medaliki i różańce.

Niektóre z tych organizacji wprowadzają ceremonie przyjęcia nowych rycerzy, podczas których kandydaci składają przysięgę wierności Maryi. Czasem przypomina to scenę z filmu historycznego – tyle że w tle zamiast zamku stoi plebania, a zamiast króla występuje proboszcz.

Gwardia Wojtyły

Na Podkarpaciu w 2011 r. powstała organizacja o nazwie – a jakże – Rycerze Jana Pawła II. Jej członkowie uważają się za duchowych spadkobierców papieża Polaka i postanowili stworzyć wspólnotę, która będzie szerzyć jego nauczanie, oczywiście w stylu rycerskim.

Rycerze JP2 mają swoje stopnie, ceremonie przyjęcia, a podczas uroczystości noszą czarne płaszcze z krzyżem i wizerunkiem papieża. Patrząc na nich podczas procesji, można odnieść wrażenie, że zakon templariuszy przeszedł rebranding i dostał patrona z Wadowic.

Organizacja rozwija się zaskakująco szybko. Powstała w Polsce, ale dziś działa także w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i kilku krajach Europy. Rycerze organizują modlitwy, pielgrzymki, spotkania formacyjne i akcje charytatywne. Ich głównym celem jest „obrona wartości chrześcijańskich w życiu publicznym". Dlatego nie dziwi, że rycerstwo papieskie bywa używane jako platforma szerzenia światłych idei, nie tyle Wojtyły, co Prezesa.

W wielu parafiach można spotkać także bractwa eucharystyczne o charakterze rycerskim. Ich członkowie zobowiązują się do adoracji Najświętszego Sakramentu, uczestnictwa w procesjach i czuwania przy ołtarzu. Czasem noszą specjalne płaszcze, czasem szarfy, a czasem po prostu odznaki z krzyżem. W Krakowie czy Częstochowie można spotkać nawet formacje, które podczas uroczystości pełnią funkcję ceremonialnej straży przy ołtarzu.

Wygląd to zatem strasznie religijnie. Tyle że działalność religijna w Polsce jest działalnością nader uprzywilejowaną. I patrząc na różne religijne organizacje – zwłaszcza te z tytułami rycerskimi – trudno oprzeć się refleksji, że duchowość jest tu dziwnie spleciona z układami towarzysko-polityczno-biznesowymi i bardzo przyziemnymi mechanizmami finansowymi.

Oczywiście paramilitarne zacięcie obrońców katolicyzmu można wyśmiać, ceremoniał potraktować jak dziwny folklor i cieszyć się, że rycerze wspomagają szkoły, szpitale czy hospicja. Ba, można się napawać towarzystwem odwołującym się do tradycji sięgających tysiąca lat i Bliskiego Wschodu. Tego samego, gdzie działają odcinające się od polityki, miłujące Allacha i bliźnich, wspomagające lecznictwo i edukację Hamas czy Hezbollah.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 5e32e32b68

Amatorzy kolarstwa: dajcie żyć zawodowcom!

Kraksy

Co chroni kolarzy oprócz obowiązkowego dzisiaj kasku na głowie? Nic. Zjeżdżają ze wzniesień z prędkością przekraczającą nierzadko 100 km/h na oponce cieńszej niż barszczyk w podłej garkuchni. No, chroni ich to samo co swego czasu Staszka Szozdę: nienaganna technika

Sezon sportów zimowych płynnie przeszedł w sezon sportów letnich. Skoczkowie narciarscy jeszcze w miniony weekend walczyli w zawodach Pucharu Świata, podczas gdy kilka tygodni wcześniej kolarze rozpoczęli ważne wiosenne wyścigi.

Na wielkiej skoczni Letalnica w Planicy piękną karierę zakończył Kamil Stoch. Zajął 30. miejsce i jako jedyny z Polaków awansował do finału. To niestety podsumowanie całego sezonu. Na szczęście z formą trafił zdobywca trzech medali olimpijskich Kacper Tomasiak, inaczej byłaby pełna dupa…

Kolarski sezon także zaczął się dla naszych kolarzy niedobrze. Są wyścigi ważne i ważniejsze. Pięć najbardziej prestiżowych, najstarszych i najtrudniejszych jednodniówek nazywanych jest monumentami, a pierwszy wiosenny monument to Mediolan–San Remo.

Najpierw startowały panie, a my oczywiście trzymaliśmy kciuki za naszą gwiazdę Kasię Niewiadomą. Podczas niebezpiecznego zjazdu Kasia przeszarżowała, wpadła na barierkę, a na nią zwaliło się jeszcze kilka zawodniczek. „Na zakręcie miałam za dużą prędkość i zapłaciłam za to” – przyznała.

W tej samej kraksie leżała Włoszka Debora Silvestri. Diagnoza: pięć pękniętych żeber i złamanie barku. Kasia Niewiadoma miała więcej szczęścia. Zakrwawioną Polkę karetka odwiozła do szpitala, gdzie poddano ją szczegółowym badaniom. Okazało się, że nie ma poważniejszych konsekwencji prócz bolesnych potłuczeń.

Kasia od razu wybrała się na zgrupowanie swojego zespołu Canyon-SRAM Zondacrypto w Andorze i nie zamierza odpuszczać innych ważnych wiosennych wyścigów, w tym klasyków ardeńskich. Piękna kolarka zdążyła już wystąpić jako ambasadorka polskiego stoiska podczas targów gastronomicznych w Barcelonie, gdzie zachwalała naszą kuchnię, z naciskiem na dania kuchni góralskiej (jest góralką) i przyznała, że najbardziej lubi pierogi z twarożkiem. Można i tak, mnie bardziej smakują pierogi z kapustą i grzybami.

W męskiej konkurencji podczas wyścigu Mediolan–San Remo też doszło do kraksy i także ucierpiał Polak: Michał Kwiatkowski. Mistrz świata z 2014 r. opublikował w mediach społecznościowych zdjęcie ze szpitala, gdzie – podobnie jak w przypadku Niewiadomej – nie stwierdzono poważnych uszkodzeń ciała. Prędko wypisano go do domu, a raczej pod skrzydła jego zawodowej drużyny Ineos Grenadier, w której wciąż jeszcze pełni rolę istotnego pomocnika liderów.

Stare dresy i wiatr we włosach

Pamiętam trochę inne kolarstwo niż to, jakie znamy dziś. Profesjonalni szosowcy nie nosili kasków na głowie, długie włosy (taka panował moda) powiewały na wietrze. Amatorzy (istniał wówczas taki sztuczny podział) byli zobowiązani nosić ochronę na łepetynie, ale składała się z zaledwie kilku skórzanych pasków. Etapy Wyścigów Pokoju, podówczas największej amatorskiej wieloetapowej imprezy (jako dziennikarz spędziłem na niej rok życia), kończyły się finiszami na stadionach. Wjazd w wielkim tempie na żużlową bądź ceglaną nawierzchnię najczęściej prowadził do kraksy, bo bez pardonu walczono o dobrą pozycję.

Wytrawni dziennikarze (po iluś tam zaliczonych wyścigach także się do nich zaliczałem) nie czekali na kolarzy przy linii mety, ale właśnie w bramie stadionu. To tam decydowały się losy etapu.

Niektórzy kolarze w ogóle odpuszczali sobie finisz na stadionie. Na pewno nie zaliczał się do nich Stanisław Szozda. Bardzo lubiłem Staszka – mam nadzieję, że on mnie też trochę – i przegadaliśmy wiele godzin. Wciąż nie mogłem zrozumieć, skąd on bierze tyle odwagi. Okazało się, że jego klubowy trener Franciszek Surmiński opracował specjalną metodę. Staszek wkładał na siebie kilka starych dresów, rozpędzał się, zakręcał przed murkiem, za którym czekała na niego przygotowana przez trenera zasadzka. Były to dwie cegły, a szczelina między nimi liczyła jakieś 10–15 cm. Staszek musiał zmieścić się między nimi. Dzięki temu wygrał 14 etapów Wyścigów Pokoju.

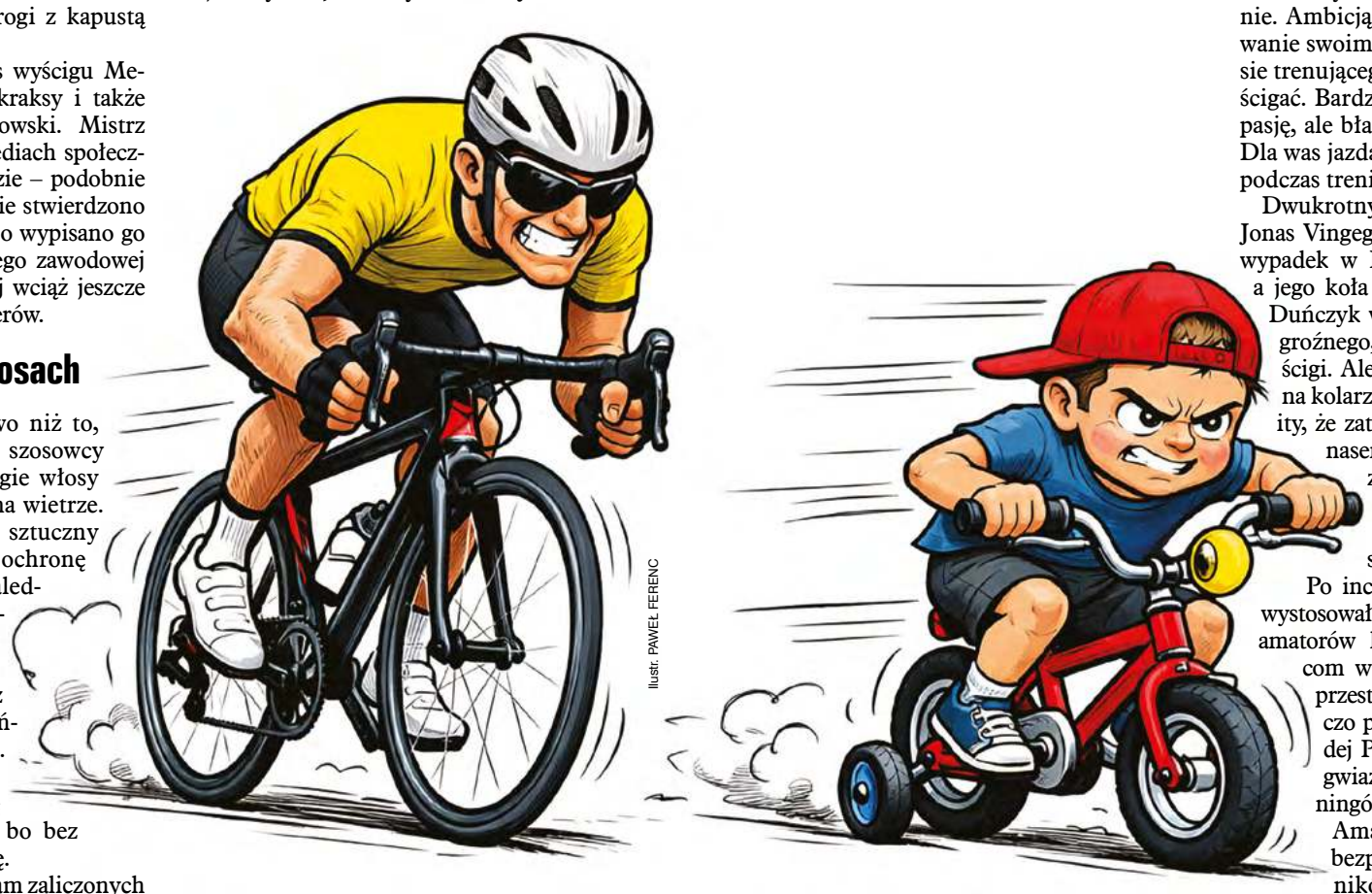
– Oczywiście – tłumaczył Szozda – wypierdoliłem się wiele razy, ale dzięki łachom nic mi się nie stało.

I właśnie w ten sposób Staszek nauczył się wkładać rowerowe koło tam, gdzie nie odważyłby się ktoś inny. Franek Surmiński potwierdził to później. Surmiński zginął w wieku 86 lat, ale nie na rowerze (ścigać się przestał w latach 60. minionego wieku), lecz w wypadku samochodowym. Dziś Surmiński i Szozda mają wspólny pomnik w Prudniku na Opolszczyźnie.

Między bungee i BASE jumping

Myślę, że dziś nie stosuje się już tak drastycznych metod treningowych, ale każdy kolarz musi mieć doskonałą technikę jazdy, która bardzo różni się od tego, co znamy z niedzielnych rowerowych wycieczek za miasto (nawiasem mówiąc, takie wycieczki też bywają niebezpieczne). W peletonie zawodnicy jadą kilka centymetrów jeden od drugiego. Wystarczy, że ktoś straci koncentrację, zafaluje rowerem i kilkunastu kolarzy upada na szosę.

Dziś mety kolarskich wyścigów nie są już na stadionach – wyjątek stanowi klasyczny wyścig Paryż–Roubaix, który kończy się tradycyjnie na torze kolarskim – ale finisze, podczas których zawodnicy jadą z prędkością przekraczającą 70 km/h, zawsze bywają piekielnie niebezpieczne. Są kolarze, którzy – podobnie jak niegdyś Szozda – specjalizują się w tej cyrkowej umiejętności. Zadaniem kolegów z zespołu jest wyprowadzenie ich na jak najlepszą pozycję przed końcówką. Ponieważ dobrych sprinterów mają niemal wszystkie drużyny, ten element zawsze jest ryzykowny, panuje duży tłok, a kraksy nie należą do rzadkości.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prowadzona jest dość makabryczna statystyka, wskazująca uprawianie jakich sportów najbardziej grozi śmiercią. Przewodzą oczywiście różne ekstremalne wyczyny, a na pierwszym miejscu znajduje się BASE jumping, czyli wykonywanie skoków spadochronowych z wieżowców, mostów, masztów, urwisk górskich i innych tego typu obiektów; nie jest to jednak sport olimpijski.

Kolarstwo zajmuje wysoką pozycję w tym strasznym rankingu (1 na 140 865 wypadków kończy się zgonem) i jest niebezpieczniejsze niż np. skok na bungee.

Można zapytać, jak to się dzieje, że wiele nawet strasznie wyglądających kraks na szosie prowadzi do otarć (w języku kolarskim: „szlifów”), najwyżej złamań obojczyków, skoro jedyną ochroną zawodnika jest kask na głowie. Obowiązkowe kaski wprowadzono zresztą nie tak dawno, po śmierci Kazacha Andrieja Kiwilewa podczas wyścigu Paryż–Nicea w 2003 r. Nie był to pierwszy śmiertelny wypadek w kolarstwie, ale ten – jak to się mówi – przelał szalę goryczy.

71 ofiar w 25 lat

Niemal w każdym wyścigu kolarskim dochodzi do kraks. Zawodnicy stający na starcie mają tego świadomość. Liczą tylko, że akurat im nic takiego się nie zdarzy.

Wiele lat towarzyszyłem kolarskim peletonom i oczywiście widziałem mnóstwo wypadków. Dosłownie obok wozu prasowego, w którym jechałem, doszło do kraksy podczas Wyścigu Pokoju w 1978 r. To była – wydawało się – niegroźna sytuacja. Ktoś stracił czujność, zawadził o koło innego kolarza i w jednej sekundzie przy chrzęście metalu zwaliło się na szosę kilku zawodników. To był koniec kariery Staszka, już nie wrócił do peletonu.

Najstraszniejszy wypadek oglądałem w telewizji. Trwał wyścig Dookoła Lombardii (2020 r.). Zawodnicy w zawrotnym tempie zjeżdżali ze wzgórza. Czekał na nich wysoki wiadukt. Belg Remco Evenepoel nie zdążył wyhamować i runął w przepaść. Śmigłowiec odwiózł go do szpitala, gdzie stwierdzono, że złamana miednica oraz pęknięte żebra, które przebiły płuco, były tylko jednymi z obrażeń. Remco wrócił do kolarstwa. Podczas igrzysk olimpijskich w 2024 r. w Paryżu dokonał czegoś, czego nie dokonał nikt przed nim: zdobył złote medale zarówno w jeździe indywidualnej na czas, jak i w wyścigu ze startu wspólnego.

W Polsce oczywiście najbardziej pamiętamy o tragedii młodziutkiego, 22-letniego Belga Bjoerga Lambrechta, który po raz pierwszy występował w roli lidera swojego zespołu. Zawadził kołem roweru o wystający z jezdni odblaskowy element, który w założeniu miał dbać o bezpieczeństwo użytkowników szosy, a których na szosach są miliony, i spadł do rowu prosto na betonowy przepust. Gdyby upadł parę metrów dalej lub bliżej… Kolejny etap Tour de Pologne wszyscy zawodnicy przejechali w spacerowym tempie, na mecie przepuścili do przodu kolegów Lambrechta z drużyny Lotto Soudal i tak uczcili pamięć zmarłego w szpitalu kolegi, po czym wrócili do ścigania. *Show must go on.*

Oczywiście mógłbym teraz kontynuować opisy tragicznych wypadków podczas kolarskich wyścigów, ale nie chcę tu prowadzić żałobnej kroniki. Dość powiedzieć, że w ostatnich 25 latach śmierć podczas wyścigów (także amatorskich, o których za chwilę) poniosło 71 osób.

Muszę tylko zwrócić uwagę, że kolarstwo jest sportem, w którym nie tylko rywalizacja jest niebezpieczna, zagrożenie dla zdrowia i życia stanowią również treningi. Gdy trwa wyścig, ruch na szosach jest wstrzymany. Treningi odbywają się przy otwartym ruchu. Na nic nadzwyczajna technika jazdy i kask na głowie, jeśli trafi się na nieostrożnego kierowcę.

Groźni entuzjaści

Nie tylko kierowcy stanowią zresztą zagrożenie. Na szosy Włoch, Francji, Belgii, Holandii, ale coraz częściej także Polski wraz z nastaniem wiosny wyjeżdżają amatorzy. To fanatycy kolarstwa. Mają taki sam sprzęt jak zawodowcy, takie same koszulki i spodenki. Na pierwszy rzut oka od zawodników odróżnić ich można tylko po owłosionych nogach. Zawodnicy golą je regularnie. Ambicją tych cykloamatorów jest dorównywanie swoim idolom i jeśli tylko zobaczą na szosie trenującego kolarza, zaraz zaczynają się z nim ścigać. Bardzo poważam ludzi, którzy mają taką pasję, ale błagam: nie zaczepiajcie zawodowców. Dla was jazda na rowerze jest przyjemnością, oni podczas treningu są w pracy.

Dwukrotny zwycięzca Tour de France Duńczyk Jonas Vingegaard miał w styczniu dość poważny wypadek w Hiszpanii. Zjeżdżał ze wzniesienia, a jego koła uczepił się jakiś amator kolarstwa. Duńczyk wpadł na skałę, nie stało mu się nic groźnego, bo już wkrótce zaczął wygrywać wyścigi. Ale – co tu dużo mówić – był wściekły na kolarza amatora, który był na tyle przyzwoity, że zatrzymał się, aby sprawdzić, czy z Jonasem wszystko w porządku. „Był bardzo zdenerwowany” – relacjonował później przypadkowy sprawca kraksy i można się tylko domyślać, jakie słowa usłyszał od zawodnika.

Po incydencie zawodowa grupa Duńczyka wystosowała w internecie apel do wszystkich amatorów kolarstwa: aby pozwalali zawodowcom w spokoju trenować i dawali im tyle przestrzeni, ile potrzebują. Do apelu ochoczo przyłączają się Remco Evenepool, Tadej Pogačar, Mathieu van der Poel i inne gwiazdy, za którymi zwykle podczas treningów sunie na rowerach tłum wielbicieli.

Amatorzy mają swoje wyścigi. Też nie są bezpieczne, zwłaszcza że u wielu uczestników ambicje przerastają umiejętności. Miłośnicy polskiego kolarstwa pamiętają, co wydarzyło się z Ryszardem Szurkowskim, chyba najwybitniejszym kolarzem w historii tego naszego sportu.

W 2018 r. podczas wyścigu weteranów w Kolonii trzykrotny mistrz świata (indywidualnie i w drużynie) uległ wypadkowi, w którym złamał kręgosłup i doznał czterokończynowego porażenia. Mimo że rehabilitował się z taką samą pasją, z jaką walczył kiedyś na szosie, nigdy nie wrócił do sił i zmarł trzy lata później w wieku 75 lat.

Przykro mi, że wiosenny felieton musiałem poświęcić tak smutnym wydarzeniom. Bezpieczeństwo na szosach i ulicach jest jednak dla rowerzystów najważniejsze – niezależnie od tego, czy uczynili sobie z tego profesję, czy jeżdżą dla przyjemności, czy też traktują swój jednoślad jako ekologiczny środek transportu. Jeśli będziemy o tym pamiętać, możemy wyciągać rower z piwnicy i wyruszać na trasę.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt.interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 1.04.2026 r.

eprasa.pl 5e32e32b68

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Zbigniew Bogucki był szefem kancelarii prezydenta Nawrockiego i człowiekiem niezwykle ambitnym. Na pamięć znał biografie Judasza, Brutusa i Quislinga. Wiedział, że to, co sobie zaplanował, ma sens tylko wtedy, gdy zostanie popełnione w starannie wybranym miejscu i we właściwym czasie. Inaczej nawet nie warto próbować…

Przede wszystkim musiał mieć po swojej stronie odpowiednich ludzi. Weźmy Cenckiewicza, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

– Co dziś brałeś? – zapytał Bogucki znienacka.

– Tylko aspirynę – odparł Cenckiewicz.

Był pobudzony psychoruchowo, miał wyraźnie podwyższone ciśnienie, tachykardię i rozszerzone źrenice. Jak nic meta… Mimo to, a może właśnie dlatego Bogucki wtajemniczył go w swój chytry plan.

– Naprawdę?! – Cenckiewicz postawił oczy w słup. – A nie boisz się?

Bogucki wzruszył ramionami z miną Clinta Eastwooda przed czterdziestką.

• • •

Wypadałoby zdobyć zaufanie armii, lecz Bogucki a priori zrezygnował z poparcia generałów, uznając, że wojsko pozostanie słabe do czasu wykorzystania środków z programu SAFE.

Postanowił za to spotkać się z motocyklistami.

– Pomożecie? – zapytał na zakończenie rozmowy z ich przywódcą.

To samo pytanie zadał hersztowi kiboli.

– A co, jeśli on się o tym dowie? – zapytał herszt, który tylko dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności nie przebywał w więzieniu.

– Nie dowie się – odpowiedział Bogucki głosem pewnym jak tembr Lee Marvina w jego najlepszych dźwiękowo latach.

• • •

Jak było do przewidzenia, Przydacz, Szefernaker i Leśkiewicz odmówili. Cienkie fiutki… Niespodziewanie w sukurs Boguckiemu przyszedł za to Zybertowicz, profesor z zawodu i upodobania.

– Mimo niebezpieczeństwa zrobię to razem z panem – obiecał.

• • •

Teraz tylko pozostało czekać. A w sprzyjającym czasie uśpić czujność Nawrockiego oraz jego ochroniarzy, zaopatrzyć się w niezbędne środki bojowe (gaz pieprzowy, scyzoryk), użyć kamuflażu (ostry makijaż, peruka) – by wymknąć się z pałacu i udać do najbliższej agencji towarzyskiej, gdzie nie będzie ani prohibicji, ani prezydenta.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN zaczyna święta od tradycyjnej sobotniej wigilii wielkanocnej, a **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jak zwykle bawi w swoim ukochanym Białymstoku.

Senyszyn: – Tym razem zaczniemy od sprostowania dobrych wiadomości.

Wołk-Łaniewska: – Niestety.

– Otóż nasza zeszłotygodniowa opowieść o tym, że Kościół kat. jest gotów dobrowolnie wypłacać po 100 tys. zł ofiarom księży pedofilów była żartem primaaprilisowym.

– Smutnym żartem, dodajmy.

– Na swoje usprawiedliwienie możemy powiedzieć, że nie spodziewałyśmy się, że ktoś uwierzy…

– Zwłaszcza spośród Czytelników „NIE”, którzy wszak nie żywią romantycznych złudzeń wobec kleru...

– Ale byłoby przyjemnie, gdyby to była prawda.

– Byłoby. Przypomniał mi się ostatnio pewien historyk idei, z którym robiłam wywiad gdzieś na początku lat 90. On był bardzo młody, ja jeszcze młodsza, podejrzewam, że dziś jest bardzo mądrym profesorem…

– Jak się nazywa?

– Psiakrew, nie pamiętam. Szczerze żałuję, bo to bardzo mądry człowiek był. W każdym razie on powiedział mi wtedy, że polski papizm się nie zmieni i nie zaakceptuje realiów demokracji, dopóki nie wymrze pokolenie biskupów wychowanych w Polsce Ludowej. Bo wbrew tym wszystkim mitom, jak to Kościół był ostoją polskości i cierpiał za miliony za komuny – biskupi chodzili do łóżka z władzą co najmniej od Gomułki, a za Gierka to już było pełnometrażowe 69…

– Nie czarujmy się, że wcześniej, czyli przed odwilżą, nie współpracował. Przecież nie kto inny, tylko kardynał Wyszyński, uważany dziś za męczennika i bojownika z komuną, był inicjatorem porozumienia z rządem z 1950 r., w którym Kościół kat. zobowiązał się zwalczać „zbrodniczą działalność band podziemia oraz piętnować i karać duchownych, winnych udziału w jakiejkolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej”. A w ogóle największy ponoć odsetek tajnych współpracowników był właśnie w kościelnej grupie społeczno-zawodowej, ale w 1989 r. dobra władza oddała Kościołowi, co kościelne, czyli akta. A potem już się rozbestwili na całego.



Rys. TOMASZ WIATER

– Bezsprzecznie. Ale w tezie mojego rozmówcy ciekawe było to, że źródeł tego rozbestwienia z czasów tzw. wolnej Polski szukał on w komunie. Płynęło ono – mówił – z faktu, że w PRL Kościół był przez władzę traktowany jak równy sobie; jako swoista reprezentacja społeczeństwa, której władza przyznawała prawo do wypowiadania się za suwerena, czasem nawet negocjowania w jego imieniu… I biskupi nauczyli się, że są równi państwu.

– I to im zostało. Ale chyba nie łudzisz się, że ci młodsi będą inni.

– No właśnie nie wiem, bo na razie młodsi nie mają nic do gadania. Przewodniczący episkopatu Wojda jest z 1957 r., wiceprzewodniczący Kupny z 56. Nawet uchodzący za liberałów prymas Polak i świeży kardynał Ryś to też dziadersi urodzeni za Gomułki i rozbestwieni kultem JP2…

– Młodzi czy starzy, kościelna hierarchia powstaje na zasadzie negatywnej selekcji. Awansują jednostki najbezwzględniejsze, idące po trupach do celu. Do otrzymania sakry biskupiej predestynują: narcyzm, paranoja, religijny fanatyzm i skłonność do stosowania przemocy, czyli cechy, które według włoskiego psychiatry Corrada De Rosy charakteryzują szefa mafii.

– Oraz prezesów wielkich korporacji. Choć akurat ten punkt na temat „fanatyzmu religijnego” budzi moje wątpliwości. Założę się, że większość purpuratów to niewierzący.

– Też uważam, że wśród kleru dominują ateiści.

– A propos purpuratów: wzruszyło mnie oburzone oświadczenie episkopatu o tym, że „łaciński patriarcha Jerozolimy kard. Pierbattista Pizzaballa oraz kustosz Ziemi Świętej o. Francesco Ielpo nie zostali wpuszczeni do Bazyliki Grobu Bożego, aby sprawować tam Mszę Świętą”…

– „Nie zostali wpuszczeni”? Deus ex machina im stanął na drodze?

– Otóż to. W postaci izraelskiej policji, ale o tym biskupi przezornie nie wspominają… A ja się przyglądam z niejakim rozbawieniem, jak struktura, która ma takie wielkie osiągnięcia w nietolerancji, sama czuje, jak to jest być nietolerowaną z powodów religijnych.

– Zmieniając temat, ale nie całkiem: Dni Ateizmu były jak zwykle bardzo udane i jak zwykle gratulujemy Darkowi Kędziorze, które je zorganizował, poprowadził, a przede wszystkim zaprosił dużo ciekawych prelegentów.

– Moim zdaniem największą atrakcją była psycholog Elżbieta Grabarczyk-Ponimasz. Zachwyciła mnie kobieta absolutnie.

– To może opowiedzmy Czytelnikom, którzy nie byli, że miała wykład na temat psychologicznych różnic w myśleniu, emocjach i funkcjonowaniu ateistów i osób wierzących. Powiedziała między innymi, że funkcjonowanie mózgu ateisty tym się różni od mózgu teisty, że u nas występuje wyższa aktywność przedniego zakrętu obręczy, który odpowiada za wykrywanie konfliktu poznawczego – co oznacza, że częściej poddajemy swoje przekonania rewizji.

– Zgodnie z pamiętnym zdaniem Johna Maynarda Keynesa: „Kiedy fakty się zmieniają, ja zmieniam zdanie. A pan?”. Przy okazji nauczyłam się nowego terminu: „potrzeba domknięcia poznawczego”.

– Od Keynesa się go nauczyłaś?

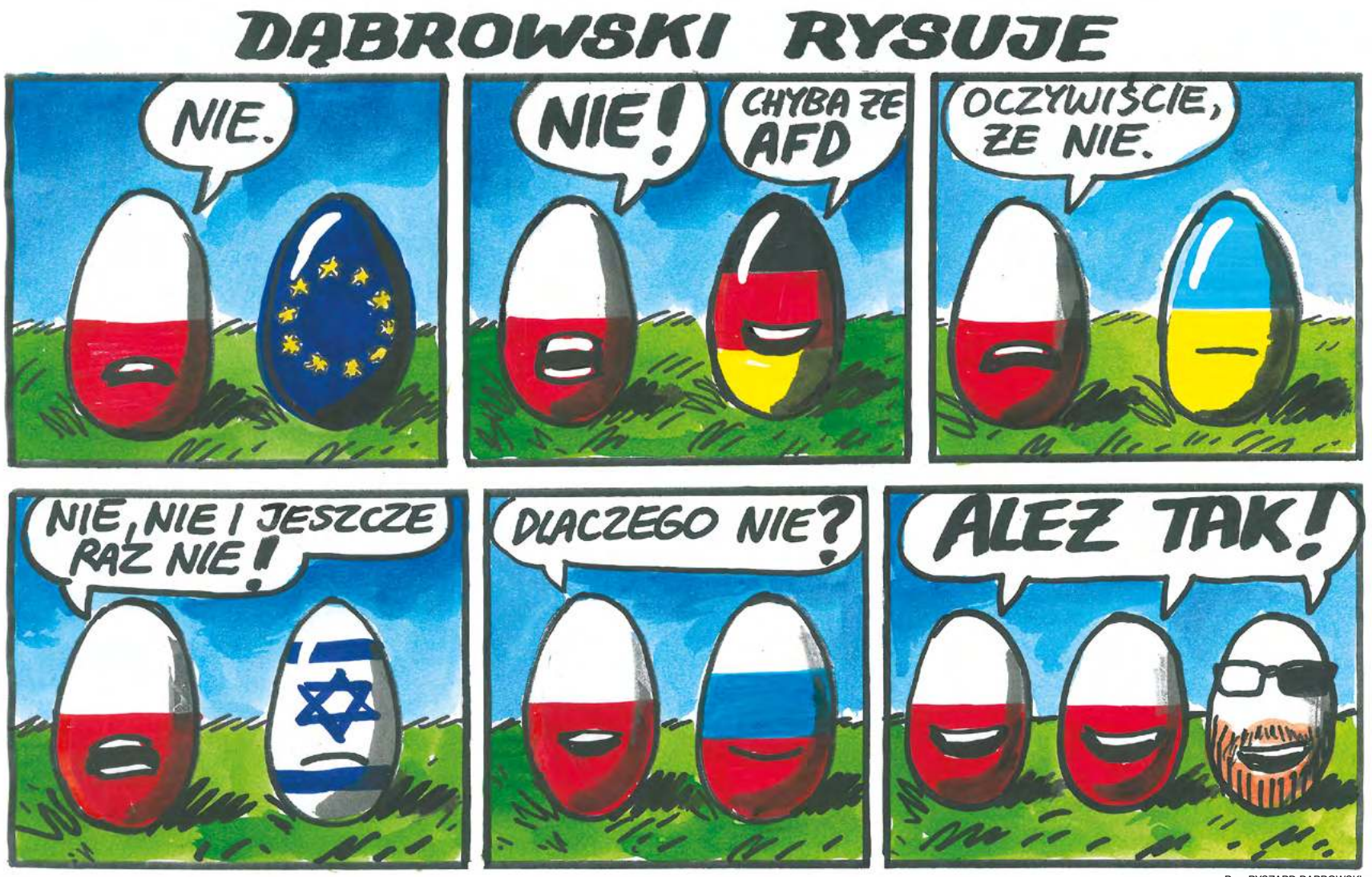
– Nie, od Grabarczyk-Ponimasz. To stan ducha, który sprawia, że wzdrygasz się na myśl, że możesz czegoś nie wiedzieć na pewno albo nie popierać – lub potępiać – bez zastrzeżeń, albo nie mieć dość wiedzy, żeby mieć zdanie. Religia bardzo w takich momentach pomaga, bo myślenie nie jest w niej szczególnie promowane.

– Ogólnie też nie, bo szkodzi wierze. Myślenie prowadzi do wątpienia, a stąd już tylko krok do nawrócenia na przyrodzony człowiekowi ateizm. Rodzimy się bowiem ateistami i jako niczego nieświadome dzieci zostajemy przypisani do wiary wyznawanej przez rodziców, a następnie poddawani regularnemu praniu mózgów w domu, przedszkolu, szkole, kościele. Nawet część małolatów urodzonych w rodzinach wolnych od religii zostaje w procesie socjalizacji religijnie zindoktrynowana i zaanektowana do któregoś z 4200 oficjalnie zarejestrowanych Kościołów i związków wyznaniowych.

– I na koniec: najserdeczniejsze ateistyczne życzenia wielkanocne dla wszystkich niewierzących, świętujących.

– Nie wierzcie, świętujcie, ateizm nie zakazuje jedzenia jajek. Wszystkiego dobrego.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 5e32e32b68